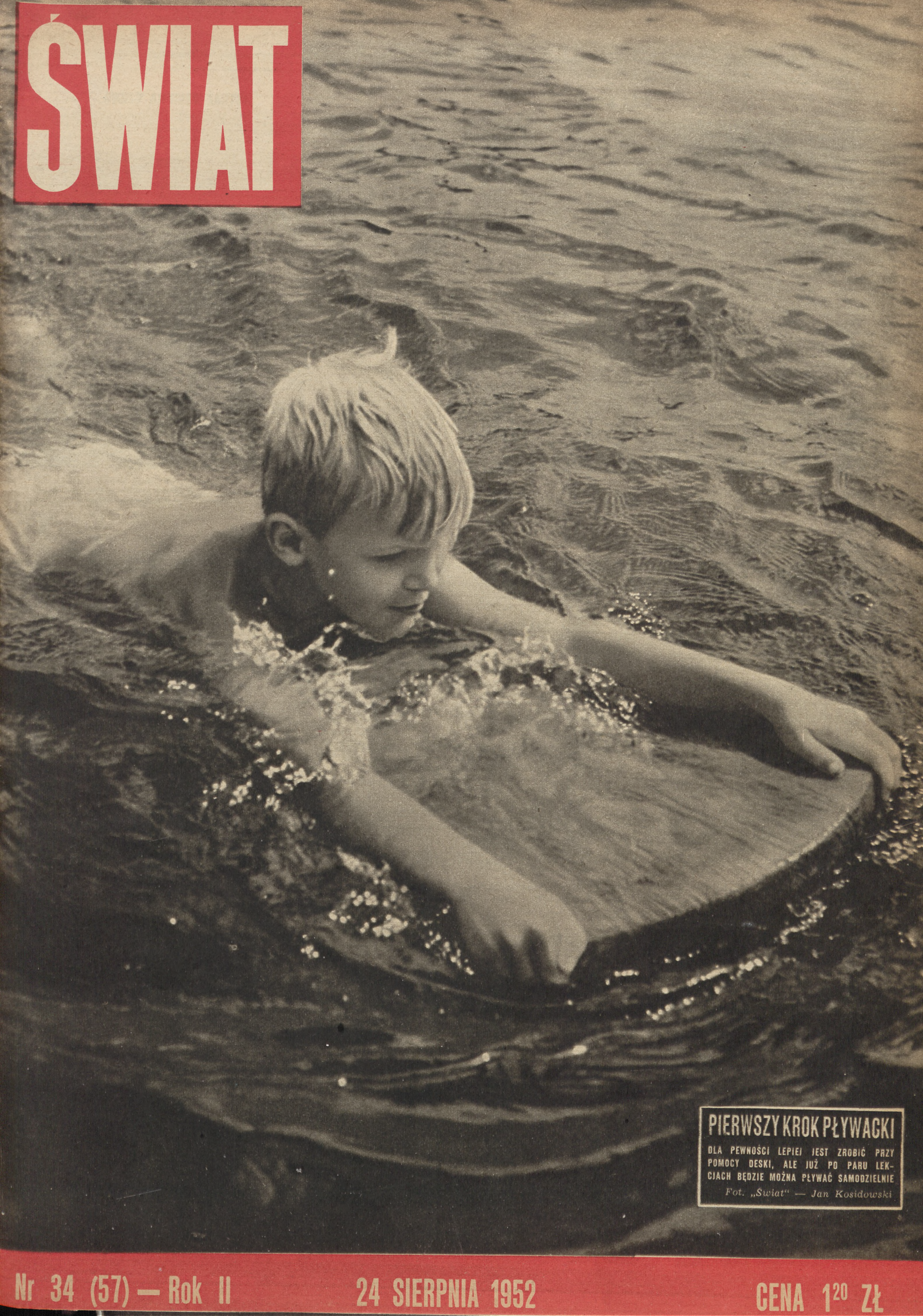




PIERWSZY KROK PŁYWACKI

DLA PEWNOŚCI LEPIEJ JEST ZROBIĆ PRZY
POMOCY DESKI, ALE JUŻ PO PARU LEK-
CIACH BĘDZIE MOŻNA PŁYWAĆ SAMODZIELNIE

Fot. „Świat” — Jan Kosidowski

DUŻY WYBÓR



Przyjaciółki radzą: — Weź ten! Kretonik w niebieskie groszki jest najładniejszy! — Aniela z Głębokiego nie jeździ już po towary do miasta, lecz kupuje je na miejscu, w sklepach G. S., które zaopatrują wieś w całej Polsce.

CAF

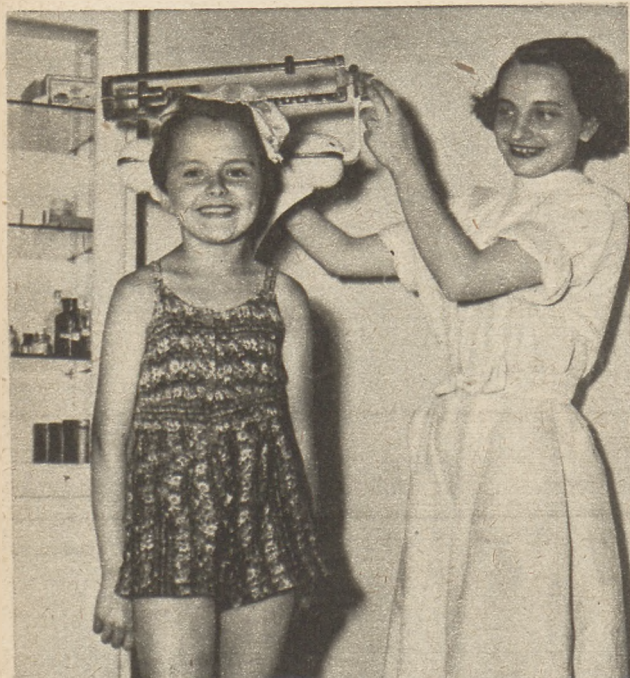
STRAŻ OGNIOWA CZUWA



CAF

Straż warszawska jest ulubieńcem całego miasta. Jej ćwiczeniom pokazowym na ulicach przyglądały się tłumy

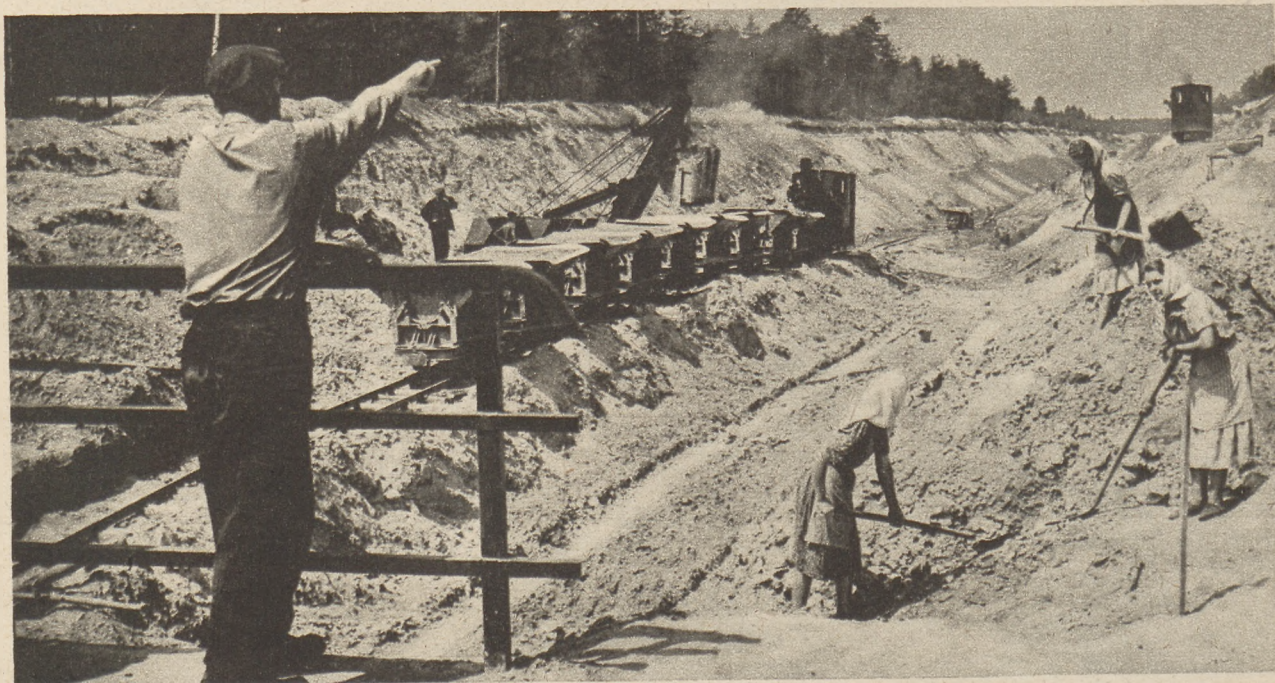
KARMILI I OPIEKOWALI SIĘ DOBRZE



CAF

Wandzi Dudrek po pobycie na kolonii Gminnych Spółdzielni w Świeradowie przybyło na wadze 2 kg.

PIASEK DLA KOPALNÍ ŚLĄSKICH



CAF

Piasek z pustyni Błędowskiej przyda się śląskim kopalniom węgla do zasypywania wyczerpanych pokładów. Dowozić go będzie z pustyni do Zagłębia magistrala kolejowa, budowana przez junaków „Służby Polsce”

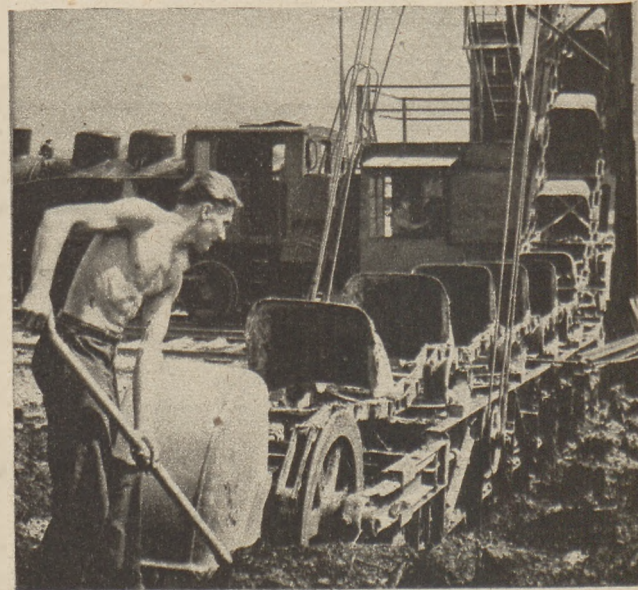
ZA PRACĘ — ORDER SZTANDARU PRACY



CAF

Gdzie tylko pracował Stefan Marcak, uzyskiwano najlepsze zbiory. Jest to traktorzysta PGR w Wojnowicach na Opolszczyźnie. Uprawia ziemię agregatami. Za doskonałe wyniki odznaczono go orderem Sztandaru Pracy II kl.

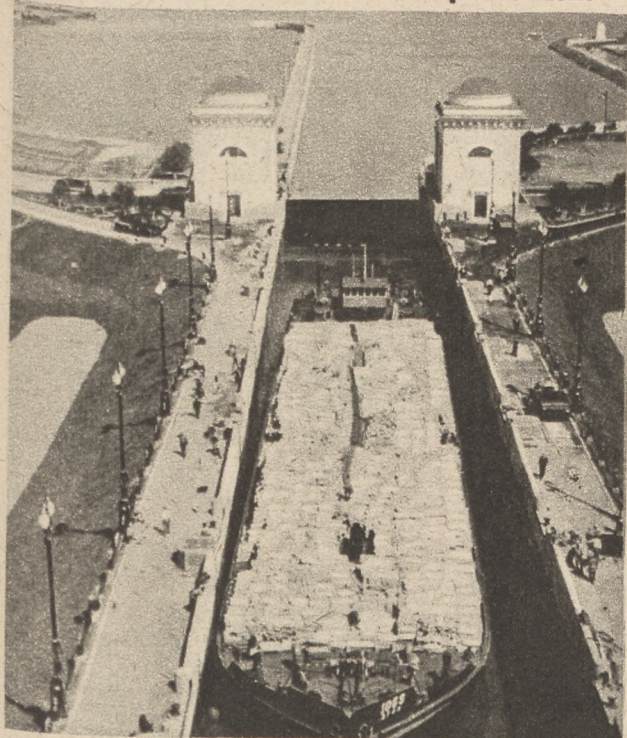
TUŻ POD POWIERZCHNIĄ ZIEMI



CAF

Okolice Katowic. Wielokubelkowy czerpak odłoni pokłady węgla i powstanie tu nowa kopalnia odkrywkowa.

KANAŁ WOŁGA-DON ZAROIŁ SIĘ STATKAMI



CAF

Wielka barka towarowa minęła zbiornik Karpowski i wpłynęła do służby nr 13. Za chwilę ruszy w dalszą drogę

NOWA KONSTYTUCJA W RUMUNII



Stachanowiec Zakładów Odzieżowych im. Gheorghiu-Dej w Bukareszcie czyta towarzyszom pracy projekt nowej konstytucji rumuńskiej, która utrwała zdobycze socjalizmu: władzę ludową oraz prawa robotników i chłopów.

ZABAWA W PRATERZE



Keystone

Dziennik wiedeński „Volkstimme” zorganizował w Praterze wielką zabawę ludową. Koncertowała tam orkiestra Armii Radzieckiej grając ulubione powszechnie walce straussowskie i wyjątki z oper.

WITAJĄ GO RADOŚNIE



CAF

Nazim Hikmet z Polski udał się na Węgry. W zakładach Sztalin Varg w imieniu załogi powitała go serdecznie młoda pionierka.

KATASTROFA MIĘDZYNARODOWEGO POCIĄGU



Keystone

Pociąg międzynarodowy Wiedeń-Paryż uległ katastrofie w pobliżu stacji St. Poelten. Wywróciła się lokomotywa pociągająca za sobą wagony. Z pasażerów nikt nie zginął. Zanotowano tylko dziesięciu rannych.

SPOŁECZENSTWO BRUKSELI W OBRONIE POKOJU



Keystone

W Brukseli odbyły się potężne demonstracje ludności domagającej się skrócenia okresu służby wojskowej.

S I Ł A M Ł O D O Ś C I

JERZY ANDRZEJEWSKI

MŁODOŚCI towarzyszy zazwyczaj szczególnie piękny przywilej: w młodości wiele ważnych spraw przeżywa człowiek po raz pierwszy. Kocha w młodości po raz pierwszy, wiele wzruszeń umysłu i serca przeżywa po raz pierwszy, dużo decyzji życiowych musi rozstrzygnąć po raz pierwszy, z niejedną trudnością a nawet cierpieniem spotyka się po raz pierwszy i w rozlicznych sytuacjach znajduje się także po raz pierwszy. Lecz czy nie w tym właśnie odkrywaniu życia, ludzi, zagadnień spoczywa świeża i piękna siła młodości? Myślę, że tak, ale pod jednym warunkiem.

Ow przywilej „pierwszeństwa“ wtedy jedynie udziela młodości świeżej i pięknej siły, jeśli człowiek chce, potrafi i może przeżyć te wczesne lata świadomie. Nie wśród niespokojnych i poplątanych znaków zapytań. Nie na oślep. Nie pod strachem. Ani na burzliwej fali żywiołowości. Lecz świadomie. Wówczas istotnie można zwrócić się do młodości — „podaj mi skrzydła...“

Więc młodość. Chodziłem dzisiaj wieczorem dużo po Warszawie. Jakże młode jest to miasto, w którym każdego dnia zarysowuje się przed nami po raz pierwszy jakiś nowy dom.

nowy fragment ulicy, placu, nowa perspektywa, nowe wystawy sklepowe, nowe okna oświetlone po raz pierwszy przez mieszkańców.

Po powrocie do domu zajrzałem do swoich notatek z ostatnich miesięcy: styczeń — sierpień. Ileż wielkich spraw naród nasz po raz pierwszy w swych dziejach przeżył w ciągu tego okresu. Po raz pierwszy w naszej historii zlikwidowany u nas został analfabetyzm. Po raz pierwszy cały naród polski dyskutował projekt swojej Konstytucji. Po raz pierwszy uchwalił Konstytucję, która wyrosła z osiągnięć, potrzeb i pragnień ludzi pracy. Po raz pierwszy w dniu przedzłotowe i Złotu ujrzał w takiej potęgze ofiarną i żarliwą siłę swego młodego pokolenia. Po raz pierwszy również w historii naród nasz wchłonął w siebie taki ogrom ideowej świadomości. I dzisiaj wreszcie, także po raz pierwszy w swych dziejach, wstępuje w okres wolnych narodowych wyborów.

Przed stu trzydziestu laty młodziutki Mickiewicz, zbuntowany przeciw feudalnej reakcji, wołał: „Młodości, podaj mi skrzydła, a nad martwym wleć światem...“

Tysiącletni naród polski przeżywa dzisiaj swoją wielką młodość. Jej skrzydłami — nasz Plan Sześcioletni i wzrastająca świadomość ideowa narodu. Nie musimy się dzisiaj odrywać od ziemi. Przeciwnie: stoimy na niej mocno, mocniej niż kiedykolwiek. Więcej: przekształcamy ją.

Nigdy jeszcze na przestrzeni swoich dziejów naród polski nie żył i nie rozwijał się tak świadomie jak obecnie, gdy we własne dłonie ujął swoje losy. Nigdy przed narodem polskim nie otwierały się perspektywy równie przejrzyste i przyjazne człowiekowi, jak teraz. Nigdy wreszcie i tylu ogromnych spraw nie mógł cały naród polski przeżywać po raz pierwszy.

I w tym, jak mi się wydaje, spoczywa siła rewolucyjnej młodości naszego narodu. Również jej wzruszające i ożywcze piękno. Piękno z pewnością niełatwe, lecz tym pełniej i wszechstronniej osiągalne, im więcej mądrej i uczciwej świadomości poświęcimy dla wcielenia go w życie.

Pomyślcie: 26 października każdy z nas po raz pierwszy w życiu będzie mógł podejść do urny wyborczej nie w zgiełku wrogich haseł, nie we wrzawie kłamliwych i oszukańczych frazesów, lecz z pełną świadomością, dlaczego i w imię czego wypełnia swój patriotyczny obowiązek wyborcy.

Od dnia wyborów dzielą nas pełne dwa miesiące. W tym dniu każda Polka i każdy Polak powinni ze szczególną siłą przeżyć piękny przywilej młodości. Powinni zrozumieć i odczuć młodość narodu i swoją własną.

Walczyć więc przez te dwa miesiące tak, by 26 października jak najmniej znalazło się wśród nas ludzi o starych umysłach i sercach.





JEDYNE ZDJĘCIE AGNIESZKI MORYSOWEJ

Napisał: MARIAN NIEWIAROWSKI

JESZCZE raz sprawdzam notatki, porównuję zeznania, porządkuję zdjęcia: i to, które otrzymałem od jej szwagra, i to, które dostałem od sąsiadki, i to, które zrobiliśmy sami, na miejscu. Leżą one teraz przede mną i trudno mi jest cokolwiek napisać.

A jednak — wiem, napisać trzeba. Jest to bardzo trudno, wierzcie mi.

Minęło już przecież wiele lat, wiele się zmieniło, a ludzie pozapominali. Ale sąsiedzi i sąsiadki z kolonii Marcina koło Lipin pamiętają to jeszcze i to nawet bardzo dobrze.

...Minęło przecież wiele lat, wiele się zmieniło i ludzie pozapominali. Ale sąsiedzi z kolonii Marcina pamiętają.



Pokazują mi dom, gdzie mieszkała. Pokoik wielkości łazienki, tu mieszkało niegdyś pięć osób.

A ja patrzę na ulicę, na ulicę dawnego osiedla: kolonia trochę zapomniana, leżąca na uboczu w cieniu wielkich drzew, przykryta mgłą, dymem i kurzem...

Żyje jeszcze szwagier, Franciszek Moryś, sztygar na kopalni „Zabrze Zachód”. Jest to człowiek stateczny, mówiący powoli. I dla niego to wszystko było zrozumiałe. Tak było, obywatelu, jakże mogło być inaczej? Takie były czasy.

Żyje jeszcze siostra, Zychoniowa, na Oświęcimskiej mieszka, w Lipinach. I ona pamięta, ale po co o tym mówić? Życia nie przywrócisz, a do smutnych wspomnień nie ma człowiek ochoty. Proszę nie gniewać się na nas, obywatelu, tyle było płaczu wtedy, że się nie chce o tym mówić. Szczególnie, że to siostra...

Ale żyją jeszcze synowie. Jeden jest w wojsku, miał wtedy osiem miesięcy. Drugi, który miał wówczas trzy lata — pracuje na kopalni. Erwin i Janek.

Piszę to dla Was, towarzysze...

Piszę to dla Ciebie, towarzyszu Morys z jednostki wojskowej N. koło Kielc. Przyjechałeś niedawno do Lipin, odwiedziłeś brata, wuja, ciotkę. Pokazali Ci wtedy to zdjęcie, jedyne zdjęcie Twojej matki, które przed Tobą ukrywali. Sztygar Franciszek, Twój wujek, opowiada, że zacząłeś płakać — i że to były pierwsze łzy w Twoim życiu. I że wtedy usłyszałeś prawdziwą opowieść o swojej matce, o prostej robotnicy śląskiej, i Twoim ojcu, prostym, zwykłym

śląskim górniku, o Twoich rodzicach, zwykłych prostych śląskich ludziach, którzy żyli przed wojną, w innych czasach.

Niektórzy ludzie mówią, że to były bardzo wesołe czasy, i że to było bardzo dobre życie...

* * *

To była zwykła śląska rodzina robotnicza: mąż i żona, ojciec i matka i dzieci małe i kochane. Mieli zapewne swoje szczęście, może krótkie, ale własne. I chcieli żyć, a dzieci chciały jeść. Mięso? Kielbasę? Masło? Mleko? Jajka? Nie, chcieli kartofli, odrobinę kartofli, parę kilo kartofli, na zupkę, na żurek...

W sklepach było pełno mięsa, a rzeźnicy stali przed ladami i czekali na klientów. Nie nadchodzili.

Na targ przyjeżdżali okoliczni chłopcy — wracali z tym samym, co przywieźli.

Wystawy sklepowe pęczniały od owoców krajowych i zagranicznych, od czekolady i ananasów, a dzieci Agnieszki Morysowej chciały jeść, chciały trochę żurku, trochę kartofli...

* * *

Wujek Franciszek opowiada nam szczegóły, a my — my nie chcemy wierzyć. I potem wyjmuję poślódkę wycinek gazety i pokazuje nam, abyśmy czytali. Jest to pamiątka rodzinna, dać nam tego nie może. Proszę bardzo: czytajcie, wiedźcie, że tak było. W gazetach pisali.

Tytuł dziennika: „Gazeta Robotnicza”

Data: 17 września 1932 r.

Numer: 111.

Nagłówek:

„CHCIAŁA NAZBIERAĆ DLA GŁODNYCH DZIECI TROCHĘ KARTOFLI — ZOSTAŁA ZA TO ZABITA”

„W środę w nocy (14 września) miał miejsce wstrząsający w swej zgrozie wypadek. Oto żona bezrobotnego, matka kilkorga dzieci, Agnieszka Morys z Kolonii Marcina udała się z kilkoma sąsiadami na pole kartoflane pod Nowym Bytomiem. Chciała nazbierać dla głodnych dzieci trochę kartofli, tym więcej, że zbliża się zima i z nią groza głodu i chłodu. Poszła na cudze pola... Gdy

Balszy ciąg na str. 6

Pokazują mi dom, gdzie mieszkała Agnieszka Morysowa. Pokoik wielkości łazienki — tu mieszkało niegdyś pięć osób.



zblizyla sie wraz z sasiedzami na kartofliska, zaczajony wlasciciel pola krzyknal na nich i Morysowa zaczela wtedy uciekac. Wlasciciel pola w pościgu za oddalajacymi sie oddal piec strzalow rewolwerowych, z ktorych jeden trafil uciekajaca Agnieszke Morys w lewa skron, tak, ze poniosla ona smierc na miejscu.

Morysowa byla matka trojga dzieci, zas maz jej od trzech i pol lat jest bez pracy. Morysowa nie miala zadnego innego wyjscia niz ukraść pare kartofli, gdyz maz jej nie dostaje zadnego zasluku.

— W ktorym to miejscu bylo?

— O tam, za stawem, teraz tam zalalo woda... Tam poszla po kartofle, Tamtedy uciekla, a tam ja trafil strzal. Lezala dlugo na ziemi. Później przybiegl maz, krzyczal, zjawili sie ludzie, policja, zrobiono protokol, a sasiedzi zebali sie, aby zrobic zdjecie pośmiertne, jedyne zdjecie mojej szwagierki. Dzieci poszly w swiat, do krewnych... Jeden chowal sie u mnie, to ten wlasnie, co w wojsku...

Potem byl duzy pogrzeb w Lipinach, a w pol roku później zmarl na gruźlicę ojciec, wyczerpany zgryzota i niedożywieniem...

Jest cichy letni zmierzch, słońce zachodzi ponad kominami hut. Widok na nia od strony Lipin jest tak piękny i urzekajacy, jak piękna i urzekajaca moze byc tylko ziemia slaska o tej porze... Wpatrzeni w daleki staw, nad ktorym wlasnie zaczyna opadac mgla — odjeżdżamy...

Tam to sie zdarzylo dwadzieścia lat temu...

Jeszcze jedno zdjecie: Tak, prosze zrobic staw, niech ludzie wiedza, gdzie



...dlugo lezala na ziemi... przybiegl maz, zjawili sie ludzie, policja, zrobiono protokol, a sasiedzi zlozyli sie, aby zrobic zdjecie pośmiertne, jedyne zdjecie szwagierki...

to bylo... Jest juz wieczor, trzeba odjezdzac.

Wracamy ja i fotoreporter Malek — w milczeniu. Nazajutrz czeka nas wspalniala podroz, a my jesteśmy smutni. A szofer — najmłodszy z nas — szofer jest tym wszystkim ogromnie zdziwiony. Dlugo oglada zdjecie. Dla niego to wszystko jest niepojęte: i matka lezaca na ziemi, i maz rozpaczajacy, i synek zaplakany. Co to jest? Za co to?...

Ale zycie jest silniejsze. Nazajutrz — leza przed nami juz inne dokumenty. Najezone od cyfr, a za kazda z nich — rok pracy. Trzeba to wszystko szybko odpisac. Spieszymy sie — mamy malo czasu, musimy jeszcze odwiedzic kopal-

nie „Wieczorek“. Szybko notuje. Jeszcze nie wiem, na co mi sie to przyda, ale praca tych ludzi — imponuje mi. Nie dostrzec jej — to karygodny blad. Przecie z na to poszly pieniadze gornicze, cięzkie, z trudem zapracowane zlote.

Dzielimy sie pracą, Malek mi pomaga.

— Ile bylo w roku 1945 zlobkow w Związku Gornikow?

Malek odczytuje:

— Piec. Dzieci korzystalo 99. Teraz jest 41. Korzysta 1.948.

— Ile bylo stacji opieki nad Dzieckiem i Matka w 1945 r.?

— 7. Korzystalo dzieci 871. Teraz jest 46, korzysta dzieci, zaraz, nie moge odczytac... tu taka liczba... piecdziesiat piec tysiecy piecset czterdzieci dwa.

— Ile przedszkoli bylo w 45 r., ile jest teraz?

— Piecdziesiat trzy bylo, teraz jest 171.

— Niech pan sprawdzi, bo to jaka duza cyfra.

— Sprawdzilem u Kamińskiej w dziale socjalnym.

Zgadza sie. Korzysta dzieci czternaście tysiecy trzysta osiemdziesiat, samych gorniczych. Prewentoriow dla dzieci jest piec, korzysta tysiac dzie-

wiecseset. Swietlic — piecdziesiat cztery, korzysta cztery tysiace sześćset osiemdziesiat trzy. Z kolonii korzystalo dzieci w roku 1945 okolo dwustu trzydziestu, a teraz trzydzieci osiem tysiecy. Polkolonii...

— Czy pan dobrze sprawdzil?

— Powtarzam panu — Malek jest dzisiaj nerwow — cyfry te sa potwierdzone przez Zarząd Główny Związku Gornikow. Ma pan tu pieczec, podpis, date, co pan tylko chce. Z polkolonii korzysta dzieci dwanaście tysiecy cztery-sta osiemdziesiat piec.

Ambulatoria sa przy wszystkich kopalniach — to w uwagach. A dalej, niech pan notuje, panie redaktorze, bo nie zdazymy na zdjecia, słońce ucieka, ze tez pan tego nie rozumie... Tu jeszcze jest jadlospis:

Notuje: jadlospis przedszkola przy kopalni „Wieczorek“. Poniedzialek, 11. VII. 51 r. Obiad: zurek slaski z kartofelkami na sloninie, pieczen wieprzowa z buraczkami, kompot...

Uspokajam sam siebie, ze nie mam zadnych danych o domach gornika, ani o hotelach gorniczych, ani o wczasach, ani o leczeniu sanatoryjnym, ani o gorniczych ośrodkach zdrowia przy kopalniach, ze to po prostu wszystko jest w innych dzialach i ze nie zdaze niczego dzisiaj otrzymac...

Pakuje notes do kieszeni i wyjezdzam zatroskany.

No coz, zostaniemy przy dzieciach...

Jakby to bylo dobrze — mysle — zeby tak te wszystkie dane porownac ze stanem przedwojennym? Toby dopiero bylo! Bo piszac — czuje, ze temat wymiga sie, nic z tego nie bedzie. Szukalem tych danych w bibliotece, przewracalem wszystkie ksiazki o opiece spolecznej w przemysle weglowym, szukalem w rocznikach statystycznych, sprawozdaniach spolek akcyjnych baronow weglowych — ani sladu. Przejrzalem wlasna biblioteke — mam tych ksiazek sporo. Nic nie ma. Boze, gdzie znalezc te cyfry? Przed wyjazdem do Warszawy dzwonię jeszcze raz do Zarządu Głównego Związku Gornikow, do dzialu socjalno-bytowego:

— Pani Kamińska droga, kierowniczkochowana, niech pani pomoze dzien-



Dlugo ogladaja to zdjecie... takie to byly czasy, az trudno jest uwierzyc...



...opowiadaja, opowiadaja, jak to bylo wtedy, dwadzieścia lat temu...

nikarzowi. Dostałem wczoraj od pani te cyfry waszego działu, a nie ma ani jednego zestawienia, ani jednej liczby ze stanu przed wojną! Może pani się orientuje, gdzie mógłbym to jeszcze znaleźć? Może w CRZZ wiedzą? A może w Ministerstwie. Będę w Warszawie — mógłbym to jeszcze uzupełnić!... Przecież pani tak lubi nasze pismo, a szczególnie szarady...

— Ależ proszę pana — słyszę zdziwiony głos pani Kamińskiej — nie ma tych danych

— Jakto nie ma? Przecież gdzieś muszą być?...

— Nie ma — słyszę stanowczą odpowiedź. — Przed wojną w ogóle nie było żłobków dla dzieci górników.

— A Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem?

— Też nie

— A przedszkoli?

— Też nie

— A prewentorjów?

— Też nie

— A domów wczasów dziecięcych...

— Ale skądże...

— No wie pan... Tego górnicy nie mieli. Nie ma danych, panie redaktorze, bo tych rzeczy w ogóle nie było.

— Nie ma danych — notuje w notatniku. Odkładam telefon i przez chwilę myślę: jak tu pracować bez danych?

• • •

Dzieci lubią strasznie zdjęcia. O wiele więcej, niż kobiety. Małek jest zatrudniany. I jego porwał ten temat. Tyle tych urządzeń i to wszystko przy jednej kopalni. Kiedy on to robi? Słońce ucieka, a tu jeszcze zostało to zdjęcie syna Agnieszki Morysowej, który wtedy miał trzy latka, a teraz jest rezbaczem na kopalni. Czy zdążymy?

Nie zapominamy o tym ani wtedy, kiedy na kopalni Ziemowit robimy zdjęcie wspianego Domu Górnik, ani w kopalni „Murcki”, kiedy robimy zdjęcia prewentorium, ani w Ośrodku Zdrowia kopalni „Wieczerek”.

To przecież wszystko dla człowieka, to przecież wszystko dla górnika śląskiego. Cały nasz plan, całe nasze sześć lat walki i pracy — to dla Ciebie, towarzyszu Morys, dla milionów takich

jak Ty, którzy żyją i mieszkają w Polsce.

Z cementu, który wyda „Wierzbica” — zbudujemy dla Ciebie dom.

Z cegieł, które wyda „Zielonka”, postawimy ściany.

Ze stali, którą wyda „Nowa Huta”, zrobimy rusztowania.

Węgiel, który da „Wesola” i „Ziemowit” ogrzeje i da Ci światło.

Woda, którą zatrzymamy koło Goścalkowic, nasyci ziemię, która Ci da chleb. Będzie go wozić samochód z Lublina — i kto wie, czy Ty nie będziesz jego szoferem. Mówił mi przecież Twój wujek Franciszek, że chciałbyś pójść na maszynistę albo na szofera. Wolna droga, wybieraj. Wszystko stoi przed Tobą otworem.

Jakże może być większy skarb niż człowiek? I jakąż może być większa wartość niż jego życie i szczęście? Nie ma u nas większej wartości, nie ma u nas cenniejszego skarbu. Wszystko dla niego, wszystko dla jego życia, dla jego dzieci, dla jego przyszłości.

I ten plan, i ta nowa huta, i te sześć lat walki, z których mamy już dwa za sobą. I te przedszkola, ośrodki zdrowia, domy wczasów, półkolonie, prewentoria.

Będziesz czytał te słowa i będzie czytał je Twój starszy brat. Wspomnijcie jeszcze raz Waszą matkę, popatrzcie na zdjęcie, jak leży martwa w szczyrim polu nad stawem. Wspomnijcie jeszcze raz... i mimo, że niejedna nas czeka trudność, niejedna przed nami stoi przeszkoda, niejedna jeszcze bitwa — nie boimy się trudności, nie boimy się przeszkód, nie boimy się ofiar, bo walczymy, trudnimy się i tworzymy, aby życie było lepsze, kraj nasz bogatszy, a matki, żeby kochały w spokoju swoje dzieci, mężowie — swoje żony, synowie i córki — swoich rodziców...

• • •

A kiedy Twój syn, oglądając po latach rodzinne fotografie, natrafi na zdjęcie babci i spyta Cię dlaczego babcia leży na ziemi, odpowiesz mu tak:

— To było syneczku, w dalekich, odległych czasach, kiedy naszym krajem rządziła burżuazja, kiedy cena kartofli wyższa była od ceny człowieka...

MARIAN NIEWIAROWSKI

W roku 1928

„WSZYSTKO ODBYWA SIĘ ZA KULISAMI...”

WYBORY roku 1928 przypadły na wczesny okres dyktatury sanacyjnej. Nowi władcy usiłowali zachować jeszcze jakie takie pozory. Pozbywali się ich stopniowo w latach następnych, aż narzucając krajowi faszystowską z ducha literę konstytucję kwietniową, zrzucili maskę pozorów ostatecznie. Ale w roku 1928 było jeszcze „nie najgorzej”. Ale jak było? Atmosfera intryg, terroru, oszustw, korupcji otaczała całą akcję wyborczą. Nawet tak umiarkowane pisma jak ówczesny „Świat”, w zasadzie bardzo przecieży pozytywnie ustosunkowany do sanacji, nie potrafił tego ukryć. Cytujemy więc kilka wyjątków z ówczesnego „Świata”.

Dnia 14 stycznia „Świat” pisał w artykule wstępnym:

„Okres wyborczy... rozpada się na dwie części: od zarządzenia wyborów do zgłoszenia list kandydatów i od ich złożenia do skrutynium. Pierwsza część upływa na pertraktacjach między partiami i na spieraniu się o kolejność kandydatów wewnątrz stronnictw; wszystko odbywa się za kulisami, w największej dyskrekcji, wprost w tajemnicy przed ogółem społeczeństwa...”

I nieco dalej:

„...trudno zdać sobie sprawę z obrazu, jaki przedstawiać będą wybory. Skomplikowanie stosunków narodowościowych i wielka ilość grup i stronnictw w naszym państwie jeszcze bardziej za-

ciemnia sytuację. Trzeba się przebić przez prawdziwą gęstwinę poplątanych pędów i rozgałęzień politycznych. Można w tej dżungli zaginąć. W porównaniu z wyborami poprzednimi tegoroczne przedstawiają daleko większy chaos...”

Zbliża się termin wyborów. Na łamach następnego numeru „Świata” (z 21 stycznia 1928 r.) czytamy takie oto refleksje:

„Teraz toczy się ostateczna walka o osoby kandydatów. Ileż wchodzi w grę ambicji, interesów, intryg, kompromisów! Smętną stroną tych targów jest okoliczność, że... zwycięża ruchliwość, tupet, demagogia...”

I na zakończenie fragment ze „Świata” z dnia 28 stycznia 1928 r.

„Na ten raz liczba list państwowych przekroczyła trzydziestkę; ponieważ zaś poza tym będą listy czysto lokalne, noszące dalsze cyfry, możemy sobie wyobrazić, jaką trudność przedstawia dla obywatela zorientowanie się w tym chaosie...”

Tę mnogość list miała też swój głęboki sens. Chaos polityczny i dezorientacja wśród wyborców ułatwiała rządzącej sanacji, tudzież jej pseudo-oponentom z tak zwanej „opozycji”, przepychanie swoich kandydatów. Temu m. in. zawdzięczał swój wybór różnego rodzaju kanciarze, karierowicze i oszuści, którzy wraz z figurantami z ramienia wielkiego kapitału i sfer obszarńskich wypełniali ławy poselskie i fotele senatorskie.

„DOSZŁO DO MEJ WIADOMOŚCI...”

Gdy w ostatnią niedzielę października udamy się do lokalu wyborczego, by wziąć udział w głosowaniu, w lokalu tym znajdziemy zasłonę, za którą będziemy mogli wypełnić kartkę wyborczą. Ordynacja wyborcza Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zapewnia nam tajność głosowania — mówi o tym art. 53 ordynacji, nakładający na członków obwodowej komisji wyborczej obowiązek sprawdzenia, czy w lokalu są zasłony, zabezpieczające tajność głosowania.

Wydaje nam się to jasne i zrozumiałe — jakże mogłoby być inaczej? A było, było kiedyś całkiem inaczej. Na przykład w wyborach do Sejmu, które odbyły się w marcu 1928 roku. Ówczesna ordynacja wyborcza też mówiła, że obowiązuje tajność głosowania. Tak było w teorii. Ale jak to wyglądało w praktyce?

Nie będziemy mówić o niezliczonych wypadkach naruszenia przez władze tajności wyborów w poszczególnych obwodach. Sięgnijmy do dokumentów, wydanych przez najwyższe czynniki ówczesne. Dokumentów, które znalazły się potem w oficjalnym druku sejmowym No. 570. Zacytujemy je w dosłownym brzmieniu. Oto pierwszy z nich:

Warszawa, dnia 28.II. 1928 r.

„Generalny Komisarz Wyborczy
Rzeczypospolitej Polskiej
Nr. 1501/28

Do
Pana Przewodniczącego Okręgowej Komisji Wyborczej.

Doszło do mej wiadomości, że istnieje na Śląsku zwyczaj posługiwania się podczas głosowania przy wyborach kotarami, czy też specjalnie zbudowanymi budkami, mającymi rzekomo na celu ułatwienie wyborcy zachowania tajności głosowania.

Ponieważ stosownie do przepisów art. 73 Ordynacji Wyborczej głosowanie odbywa się publicznie w sposób ściśle w tym artykule określony, przeto na zasadzie art. 16 ust. Ord. Wyb. zarządzam zaniechanie tego zwyczaju, jako sprzecznego z przepisami ordynacji wyborczej.

Proszę o wydanie stosownych zarządzeń Obwodowym Komisjom Wyborczym.

Podpis nieczytelny
Generalny Komisarz Wyborczy”

Za tym pismem poszły nazajutrz następane:

„Śląski Urząd Wojewódzki
L. Pr. 585/156

Dot. zasłony w lokalach Komisji
Obwodowych w czasie wyborów.

Do
Wszystkich P. P. Starostw Województwa Śląskiego oraz
Magistratów miast Bielska, Katowic i Królewskiej Huty.

Generalny Komisarz Wyborczy reskryptem z 28 lutego 1928 r. Nr. 1501/28 wyjaśnił, że istniejący w Województwie Śląskim zwyczaj posługiwania się podczas głosowania przy wyborach kotarami, czy też specjalnie zbudowanymi budkami — nie znajduje uzasadnienia w przepisach art. 73 Ordynacji Wyborczej, oraz wydał Przewodniczącym Okręgowych Komisji Wyborczych, tudzież Komisarzom Wyborczym na zasadzie art. 16 Ordynacji Wyborczej zarządzenie zaniechania wspomnianego zwyczaju, jako sprzecznego z przepisami ustawowymi.

Powyższe podają Panom do wiadomości.

W. Z. Wojewoda
(—) Żurawski, wicewojewoda”.

Oto w jaki sposób zasada tajności wyborów, zasada zagwarantowana wyborcom nawet w burżuazyjnej konstytucji z 1921 roku, okazała się w praktyce fikcją. Generalny Komisarz Wyborczy już się o to postarał, by „wyinterpretować” odpowiednio przepisy.

PROLETARIAT



LUDWIK WARYŃSKI

Pierwszą partią polityczną, która podjęła w Polsce sztandar walki klasowej w duchu ideologii marksistowskiej, jest socjalno-rewolucyjna partia „Proletariat”. Jej najwybitniejszym twórcą, ideologiem i przywódcą był Ludwik Waryński...

Powstanie partii w 1882 r. poprzedzała niezwykle żywa organizacyjna praca kółkowa, propagandystyczna i agitacyjna, którą kierował Ludwik Waryński. Już jednak w 1878 r. na te pierwsze zarodki organizacji rewolucyjnej spadły aresztowania i represje, które z roku na rok przybierały na sile. Mimo to — najsroższy terror nie jest już w stanie złamać walki klasowej, która przechodząc różne etapy nasilenia, staje się zarzewiem coraz szerszego ruchu robotniczego.

Z tych względów działalność Ludwika Waryńskiego i partii „Proletariat” stanowi pierwszy i niezwykle doniosły etap walki klasowej.

Historyczną zasługą tej partii jest to, że wniosła ona po raz pierwszy do świadomości polskiego proletariatu najogólniejsze zasady marksistowskiej ideologii rewolucyjnej. Wpajała ona w polską klasę robotniczą zasadę solidarności międzynarodowej, uczyła ją, że ustroj kapitalistyczny jest systemem o zasięgu światowym i usunąć go może tylko rewolucyjna walka proletariatu...

...Nie zamykając oczu na braki i słabości tej organizacji pamiętać należy, że działalność „Proletariatu” — to wspaniały i bohaterski okres budzenia się, kształtowania i ubojowienia polskiego ruchu robotniczego.

BOLESŁAW BIERUT

(z referatu wygłoszonego w dniu 15.XII.1948 r. na KONGRESIE POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ).



Proletariatcy w drodze na miejsce zesłania na Karze: (od lewej) Henryk Duleba, Feliks Kon, Tadeusz Rechniewski, M. Lury, M. Markowski.

Mija właśnie lat 70 od chwili założenia przez Ludwika Waryńskiego Socjalno-Rewolucyjnej Partii „Proletariat”. „Proletariat” był pierwszą na naszych ziemiach robotniczą partią rewolucyjną, która w oparciu o twórcze idee marksizmu walczyła o wyzwolenie mas pracujących spod kapitalistycznego ucisku. Działalność „Proletariatu” zapoczątkowała świadomą walkę polskiej klasy robotniczej, walkę, zakończoną zwycięsko przez nasze pokolenie.

Siedemdziesiąt lat temu, 1 września 1882 roku, Komitet Robotniczy (Komitet Centralny) partii „Proletariat” opublikował odezwę, zawierającą program partii. Zamieszczamy poniżej wyjątki z tego dokumentu.

„Wczorajszy niewolnik przybrał nazwę wolnego robotnika, dawny przymus przyjął nazwę wolnego najmu, ale jak niewolnik lub poddany posłuszny być musiał rozkazom „pana” z obawy przed batem, tak samo i dziś wolny robotnik przyjmuje pokornie warunki dyktowane mu przez kapitalistę, zmuszony do tego głodem, który jemu i jego rodzinie w każdej chwili zagraża. Wyzyskiwanie tedy zmieniło swą postać, ale pozostało zasadniczą normą stosunków między klasami społeczeństw nowożytnych — między klasą posiadającą i klasą wywłaszczoną, między proletariuszem a kapitalistą.

„Wiekowe trwanie tego ucisku i wyzyskiwania zawdzięcza społeczeństwo najgłówniej nieświadomości mas wyzyskiwanych, które nie rozumiejąc, gdzie leży istotna przyczyna ich nieszczęść, nie umiały dotąd sił swoich dla zgodnej walki przeciw wspólnemu wrogowi połączyć. Dziś wszakże świadomość ta budzić się poczyną — robotnicy coraz dokładniej pojmują, że nie masz wolności

tam, gdzie panuje zależność ekonomiczna, gdzie ziemia i narzędzia pracy, będące prywatną własnością uprzywilejowanych, dają im możliwość wyzyskiwania mas pracujących.

„Dzięki obudzeniu się tej świadomości proletariat współczesny, wiążąc się w jedną organiczną (klasową) całość, staje coraz gromadniej do walki, żądając całkowitego ekonomicznego, politycznego i moralnego wyzwolenia.

„Dążenia i cele swe proletariat polski formułuje w sposób następujący:

I. Pod względem ekonomicznym... żądamy: 1) aby ziemia i narzędzia pracy przeszły z rąk jednostek na wspólną własność pracujących, na własność socjalistycznego państwa, 2) aby praca najemna zamieniona była przez pracę zbiorową, zorganizowaną w stowarzyszeniach fabrycznych, rzemieślniczych i rolnych, 3) aby każda jednostka miała prawo do korzystania z owoców stowarzyszonej pracy, a to w stosunku do ilości zaofiarowanej przez siebie pracy i ogólnych zasobów państwa”.

W latach 1883 — 1884 policja carska aresztowała ponad 200 członków partii „Proletariat”. 29 czołowych działaczy „Proletariatu” odpowiadało przed sądem wojskowym, który sześciu skazał na śmierć, pozostałych zaś na długoletnią katorgę i więzienia. Podajemy poniżej fragmenty wystąpień niektórych Proletariatczyków przed carskim sądem wojskowym.

WARYŃSKI: Myśmy walczyli za swoje przekonania, my jesteśmy usprawiedliwieni przed własnym sumieniem i przed ludem, którego sprawie służyliśmy... Jakikolwiek bądź wyrok wydacie na nas, proszę was, nie oddzielajcie losu mojego od losu moich towarzyszy. Zostałem aresztowany wcześniej od wszystkich towarzyszy. Ale co przez nich dokonane zostało, ja sam uczyniłbym, jeśli bym był na ich miejscu. Uczciwie służyłem mej sprawie i gotów jestem za nią życie położyć.

KUNICKI: Cała moja wina — to miłość moja do ludu, za którego uwolnienie gotów jestem do ostatniej kropli przelać krew swoją... Słyszycie płacz i łkanie rozlegające się wśród publiczności? To krewni nasi, ojcowie, matki i żony. Ich spytajcie, a z tego, co powiedzą, osądzicie, czy oni nas mają za zbrodniarzy. Sądzić nas możecie i osądzić. My umrzemy z poczuciem spełnionego obowiązku!

KON: ...Nie przestanę być człowiekiem, na którego powinny wywierać wpływ swój fakty codziennego życia. Nie mogłem, na przykład, nie być uderzony widokiem tej masy bledych, głodnych robotników, których wypędzają na ulice Warszawy powtarzające się periodyczne kryzysy... Poznaawszy zasady socjalizmu przejąłem się nimi, a jako człowiek... nie umiejący grać biernej tylko roli w biegu wypadków, starałem się odszukać ludzi przyjmujących czynny udział w walce z przestarzałym porządkiem rzeczy.

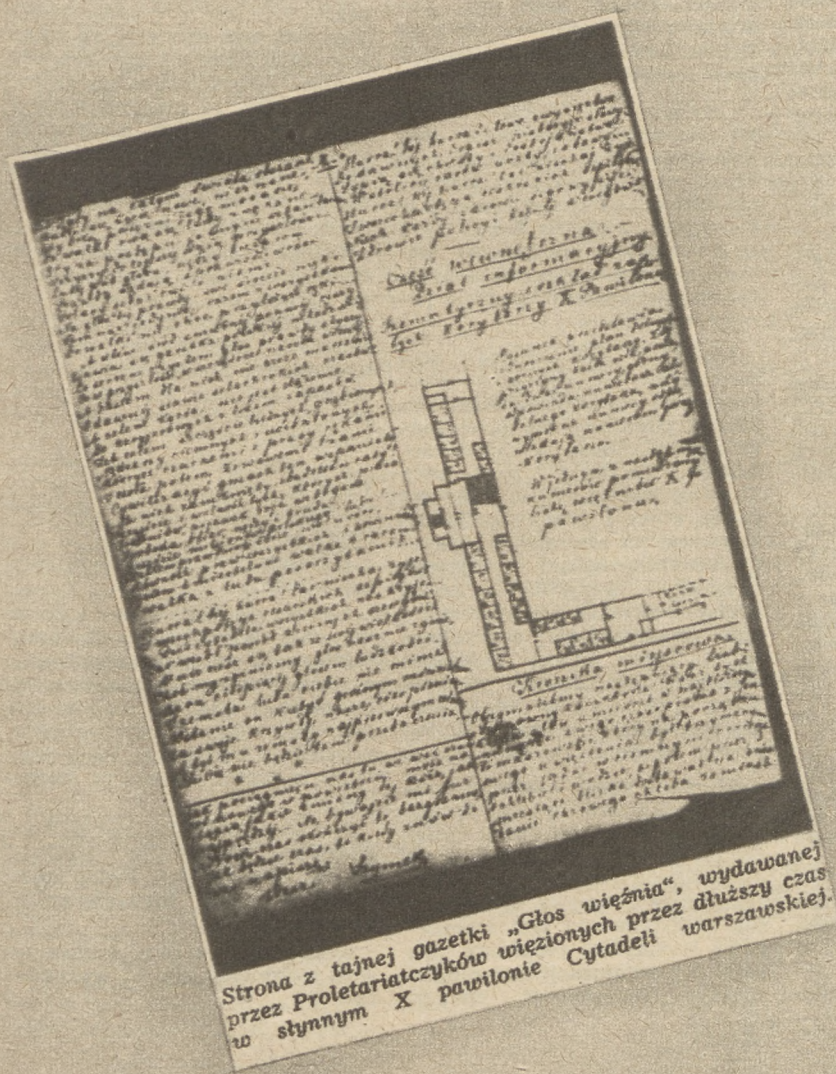
OSSOWSKI: My, robotnicy, doskonale to odczuwamy, że walka toczy się o nasze interesy; my wkładamy w nią całą naszą energię i gotowi jesteśmy nieść brzemień odpowiedzialności za to, co przez nas zrobione zostało. Dlatego więc niesprawiedliwością z waszej strony będzie, jeżeli w wyroku jakkolwiek różnicę pomiędzy robotnikami i inteligencją przeprowadzicie. Ja ze swej strony nie chcę względności od was!



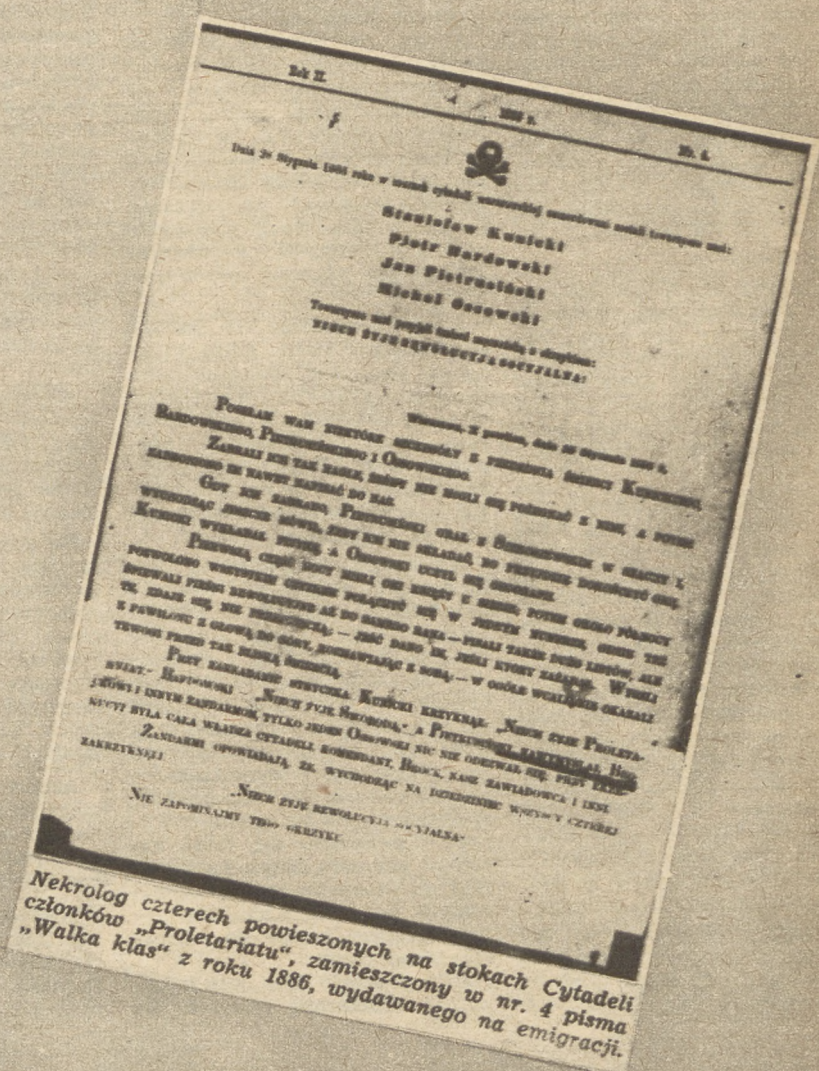
List Waryńskiego do warszawskiego prokuratora Plewego, pisany w roku 1878 z Krakowa. „Ja do kraju wrócę i dalej pracować będę w raz obranym przeze mnie kierunku” — oświadcza w nim Ludwik Waryński prokuratorowi.



Szlisselburg — więzienie carskie na skalistej wysepce w pobliżu Petersburga. Tu został osadzony Ludwik Waryński, skazany na 16 lat katorgi, tu zmarł w roku 1889. Więzienie szlisselburskie zburzono w czasie wojny, w roku 1917.



Strona z tajnej gazetki „Głos więźniów”, wydawanej przez Proletariatczyków więzionych przez dłuższy czas w słynnym X pawilonie Cytadeli warszawskiej.



Nekrolog czterech powieszonych na stokach Cytadeli członków „Proletariatu”, zamieszczony w nr. 4 pisma „Walka klas” z roku 1886, wydawanego na emigracji.



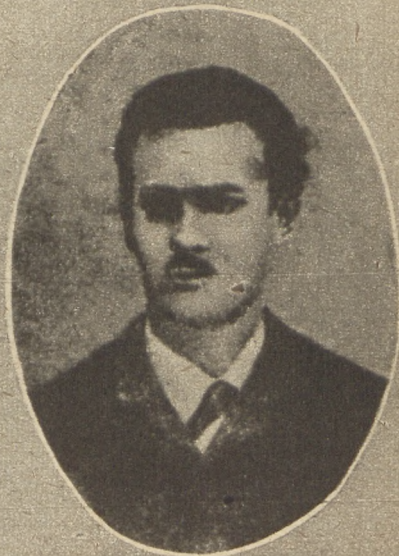
STANISŁAW KUNICKI



PIOTR BARDOWSKI



JAN PIETRUSIŃSKI



MICHAŁ OSSOWSKI



DROGA DO DACHAU

MARIAN PODKOWIŃSKI

GDY pewnego dnia postanowiliśmy pojechać do Dachau, bawarskiego miasteczka, w którego pobliżu położone są tereny hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, mało znalazło się chętnych. Większość korespondentów zachodnio-europejskich krajów — nie mówiąc już zupełnie o amerykańskich piratach pióra — nie widziała po prostu potrzeby.

— Nasze gazety i tak tego nie wydrukują, po co więc się włożyć i męczyć... A zresztą kto dziś w Trizonii przejmie się w ogóle historią Dachau...

To prawda.

W zachodnich Niemczech robi się wszystko, jeśli chodzi o klikę Adenauera, aby zmora Dachau przestała dręczyć sumienie tych ludzi, którzy dawniej pomagali Hitlerowi, dzisiaj zaś stawili się na apel odwetowców z Bonn, wążąc znowu szansę dla siebie.

Wypuszcza się z więzień nie tylko oprawców z Dachau i innych obozów, ale prześladowuje się ofiary faszyzmu. Niedawno rozwiązano w Duesseldorfie wiec b. więźniów obozów koncentracyjnych, którzy protestowali przeciwko remilitaryzacji. Jak wiadomo, członkowie VVN — ogólnoniemieckiego Związku Ofiar Faszyzmu — są na czarnej liście bońskiej „sprawiedliwości”. Członkowie tej organizacji usuwani są z posad i nie mogą praktycznie piastować żadnych urzędów publicznych. Legitymacja VVN — to w Trizonii „wilczy bilet”.

Podżegacze wojenni w zachodnich Niemczech starają się zacierać wszelkie ślady niedawnej przeszłości, aby uspokoić su-

mienia tych, którzy dzisiaj znów mordują antyfaszystów, jak czynili to za czasów Trzeciej Rzeszy. Strzały w Essen, które ugodziły śmiertelnie 21-letniego bojownika o pokojowe Niemcy, Filipa Muellera, były tego tragicznym dowodem.

Droga do Dachau prowadzi przez piękny krajobraz. Panuje tu cisza i spokój. Gdyby nie świadomość, że tą samą drogą jeszcze przecież tak niedawno kroczyli brocząc krwią ludzie z okupowanych przez Hitlera terenów, wleczeni na straszną śmierć w komorach gazowych, można by rzec, iż na równinie bawarskiej panował sielski nastrój.

Kiedy dotarliśmy do Dachau i spytaliśmy ludzi, gdzie tu są tereny obozowe i muzeum martyrologii, o którym słyszeliśmy, wszyscy napotkani kiwali dziwnie głowami. Wskazali nam miejscowość Leitenberg, gdzie znajdują się masowe groby hitlerowskich ofiar, oraz kierunek na tereny obozowe.

Amerykanie początkowo zabezpieczyli obóz w Dachau i urządzili w nim coś w rodzaju turystycznego campingu dla żadnych dreszczyków i specjalnej sensacji przybyśzów zza Oceanu. Przyjeżdżały więc tutaj pełne autokary cywilów oraz żołnierzy, którzy uważali za swój turystyczny obowiązek fotografować się w sposób bezczeszczący pamięć pomordowanych. Dochowały się takie np. fotosty, jak para głuپی uśmiechniętych yankesów na tle odgrzebanych kości ludzkich albo — trzymających szufle do krematoriumnego pieca...

Gdy pewnego dnia cała ta cyniczna maskarada znudziła się

wreszcie Amerykanom i w Trizonii powiały nowe wiatry polityczne pod żagle neohitlerowskiej propagandy, tereny obozowe oddano w ręce miejscowych władz niemieckich. Nie robiąc wiele hałasu, administracja niemiecka postanowiła stopniowo likwidować obozowe pozostałości. Tłumaczono, że turystów i tak już nie ma, a Bonn domaga się terenów na ćwiczebny poligon dla „Grenzschutzu”. Karczarze i hotelarze nie protestowali, odkąd Amerykanie zwinęli swoje „panoptikum”, którego dalsze istnienie groziło deficytem. Kulacy bawarscy byli zadowoleni, że przynajmniej w ten sposób nie tracą własnej ziemi na tereny manewrowe dla wojska.

Słowem, postanowiono skończyć z obozem w Dachau. Zaczęto więc niwelować stopniowo tereny, usunięto krematorium, pozostawiając jeszcze niewielki budynek, mający rzekomo symbolizować hitlerowskie barbarzyństwo. Miejscowi ludzie pewni są, że wkrótce i ten znikomy symbol zniknie z horyzontu dachauskiej równiny. — Wszystko jest na dobrej drodze — jak nam się pochwalił jeden z rajców miejscowego samorządu.

— I może zniknie wreszcie i ta zmora, która zawisała nad naszym miastem — z westchnieniem dodał napotkany informator.

Adenauer usuwa widome symbole brunatnego barbarzyństwa, sądząc, że w ten sposób pozbędzie się ostrzegawczych oznak polityki, która wyraźnie kroczy tropami Hitlera.

Bo gdy jego podwładni starają się usuwać niewygodnych świadków niedawnych zbrodni, Adenauer i jego klika chętnym okiem patrzą na wskrzeszanie mitów. Mają one zagrzewać tworzące się obecnie kohorty najemników Wall Street do nowych wypraw krzyżowych, do nowych mordów.

Albowiem w tym samym czasie, kiedy zaciera się ślady zbrodni w Dachau, nie żałuje się pieniędzy na odbudowę pamiątek hitlerowskiej „chwały”.

W latach swych rządów Hitler kosztem 980 milionów marek wybudował w Obersalzberg, w Bawarii, swój monstrualny zamek „Berghof”, gdzie podejmował

swoich „gości”. Tutaj dyktował warunki kapitulacji owym krajom, które zamierzał przekształcić w cmentarze. Tu skapitulował też Schuschnigg i Hacha, tutaj nisko kłaniał się i Beck. W przeladowanym marmurami gabinecie układał Hitler swoje wojenne plany przeciwko Polsce i ZSRR. Berghof uchodził słusznie za Mekkę narodowego socjalizmu, podobnie jak kolebką jego był „Brunatny Dom” w Monachium.

Obersalzberg został podczas wojny częściowo zrujnowany. Później Amerykanie urządzili tutaj hotel dla swoich turystów. „Mieszkać w domu Hitlera” albo „kąpać się w jednej z tuzina łazienek Ewy Braun” — to był gwóźdź w turystycznych atrakcjach dla żołnierzy amerykańskich na urlopie. Okoliczni spryciarze sprzedawali zresztą wyćieczkowiczom takie np. „pamiątki”, jak kafle z łazienek Hitlera lub resztki urządzenia z apartamentów jego kochanki.

Gdy wreszcie i Berghof dostał się pod zarządek niemiecki, pod wpływem opinii publicznej w Bonn opracowano plan zburzenia hitlerowskiego gniazda. Ale na skutek protestu hotelarzy i restauratorów, później zaś rozmaitych organizacji militarnych, zamiar ten został oczywiście porzucony.

Dzisiaj Obersalzberg jest ośrodkiem hitlerowskich pielgrzymek i miejscem uroczystych zebrań pogrobowców brunatnego reżimu. Tutaj w każdą niedzielę biwakują zwolennicy Trzeciej Rzeszy. Tutaj odbywają się wiece i demonstracje faszystowskich stronnictw i parady neohitlerowskiej młodzieży. Oczywiście, wszystko za zgodą adenauerowskiej administracji i pod opiekunческими skrzydłami policji Lehra, której specjalne oddziały „pogotowia wojskowego” ćwiczą się w „rozpraszaniu bojowników o pokój” na terenach obozu w Dachau.

W czasie mojej ostatniej podróży do Bawarii byłem świadkiem takiej manifestacji hitlerowskiej, zorganizowanej przez „Deutsche Gemainschaft” (DG), jednoczącą rozmaite ugrupowania faszystowskie pod sztandarami trizoińskiej republiki. Na czele tej organizacji stoi niejaki August Haussleitner, chadek,

odgrywający ongiś dość znaczną rolę w partii Adenauera (CDU).

Krzykliwy wiec hitlerowców zwołany został, aby zaprotestować przeciwko utworzeniu oddziału VVN w Obersalzberg. Hitlerowcy uważali powstanie Związku Ofiar Faszyzmu w tej niejako filii germańskiej Walhalli niemal za „świętokradstwo”.

Wspomniany wiec odbył się wedle wszystkich zasad hitlerowskiego rytuału. A więc był i sztandar do złudzenia przypominający chorągiew NSDAP — zamiast swastyki było „germańskie runo” — szturmówki w brunatnych mundurach, orkiestra grała ulubiony marsz Hitlera, tzw. „Baden-weiler”, a mówcy naśladowali ujadanie Goebbelsa. Wiele osób miało znaczki NSDAP w klapie marynarki.

Jeden z mówców powiedział zaś:

— Już czas skończyć ze szkalowaniem Hitlera i jego zwolenników. Jedynym błędem Hitlera był fakt, że przegrał wojnę!

Następnie odbyła się parada przed dawnymi koszarami SS — gdzie mieszkali ongiś pretorianie Himmlera. Dzisiaj wypoczywają tu ludzie Lehra.

Policja przypatrywała się życzliwym okiem tej manifestacji. Grupa natomiast młodzieży demokratycznej, która zorganizowała kontrakcję, została hydrantami rozproszona, następnie zaś bita do krwi przez policję i jej hitlerowskich sojuszników.

Do późnego wieczoru awanturowali się oni po mieście, przypominając sobie „dawne, dobre czasy”.

Hitlerowcy czują bowiem pismonośm.

Wiedzą, że Wall Street i Bonn nie chcą pomników z Dachau; podżegacze wojenni, organizujący hitlerowskich barbarzyńców do nowego odwetu, do nowego najazdu, potrzebują innych symboli. Jednym z nich jest właśnie zamek Hitlera na Berghofie.

I dlatego wkrótce na próżno będziemy szukać w Dachau miejsc uświęconych krwią niewinnych ofiar hitlerowskiego barbarzyństwa.

Chyba że wzorem archeologów weźmiemy się do wykopalisk.



Dobrze znane sylwetki i mundury... 10 żołnierze specjalnych formacji policyjnych Trizonii, stanowiących kadre odradzającego się Wehrmachtu, odbywają ma-

newry. Teren: dawny obóz koncentracyjny w Dachau. Zadanie: „otoczenie i zniszczenie grup wywrotowców”. Wynik manewrów: „dodatni” — „wywrotowcy zostali



unieszkodliwieni”. Słowem — wszystko jak za dawnych, hitlerowskich czasów, gdy na tym miejscu wymordowano dziesiątki tysięcy ofiar z całej Europy.

JAK KANDYDOWAŁEM NA GUBERNATORA

PRZED kilkoma miesiącami wysunięto moją kandydaturę na gubernatora stanu New York z listy niezależnych. Moimi kontrkandydatami byli pp. John T. Smith oraz Blank J. Blank. Wiedziałem, że posiadam niewątpliwą przewagę nad tymi panami w postaci dobrej reputacji. Wystarczyło spojrzeć na gazety, aby dowiedzieć się, że jeśli panowie ci cieszyli się kiedyś dobrą opinią, to czasy te minęły już bezpowrotnie. Nie ulegało wątpliwości, że mieli oni w ostatnich latach do czynienia z najbardziej podejrzanymi i brudnymi sprawkami. Kiedy jednak cieszyłem się w cichości ducha z mojej przewagi moralnej, to z radością tą mieszało się uczucie zażenowania, że moje nazwisko wymieniane będzie jednym z nazwiskami tego typu indywiduów. Długo zwlekałem z przyjęciem kandydatury, aż wreszcie postanowiłem napisać w tej sprawie do mojej babki. Odpowiedź jej była zarówno szybka, jak i dobitna:

Nie popełniłeś w swym życiu niczego takiego, co mogłoby przynieść ci ujmę. Spójrz tylko na gazety, a zrozumiesz, jakimi osobnikami są panowie Smith i Blank. Zastanów się dobrze, czy chcesz poniżyć się do tego stopnia, aby rywalizować z ludźmi tego pokroju.

Tak samo właśnie i ja myślałem! W nocy nie mogłem zmruczyć oka. Mimo wszystko jednak nie widziałem sposobu wycofania swej kandydatury. Byłem już zaangażowany i musiałem stanąć do walki. Przeglądając przy śniadaniu dzienniki natrafiłem na taką oto wzmiankę, która wytrąciła mnie całkiem z równowagi:

KRZYWOPRZYSIĘSTWO

Może by pan Mark Twain wytłumaczył nam dzisiaj, gdy staje jako kandydat na gubernatora przed swym narodem, jak to się stało, że w r. 1863 w miejscowości Wakawak w Kochinchinie czterdziestu czterech świadków udowodniło mu krzywoprzysięstwo, które popełnił, aby wyrzucić szmat pola bananowego z rąk nieszczęśliwej wdowy malańskiej i jej bezbronnej rodziny, dla której pole to było jedynym środkiem utrzymania. Nie wątpimy, że p. Twain w interesie zarówno swoim, jak i ludu, o którego głos zabiega, zechce sprawę tę wyjaśnić jak najrychlej. Czy jednak to uczyni?

Myślałem, że pękne ze zdumienia. Cóż za okrutne, straszliwe oskarżenie. Nie widziałem nigdy na oczy Kochinchiny! Nie słyszałem o żadnym Wakawaku! Nie potrafiłbym odróżnić pola bananowego od kangura! Nie wiedziałem co począć. Byłem oszołomiony i bezradny. Dzień minął, a ja nic nie zrobiłem w tej sprawie. Nazajutrz ta sama gazeta zamieściła krótką notatkę:

CHARAKTERYSTYCZNE!

Godzi się zauważyć, iż p. Twain zachowuje znamienne milczenie w sprawie krzywoprzysięstwa w Kochinchinie.

(N.B. Przez cały czas walki wyborczej dziennik ten nie nazywał mnie inaczej, jak „Twain, ohydny krzywoprzysięzca“).

Następnie wpadła do mych rąk „Gazette“, w której przeczytałem co następuje:

PROSIMY O ODPOWIEDZ

Może by nowy kandydat na stanowisko gubernatora zechciał wyjaśnić nam pewną sprawę. Idzie o jego współlokatorów w Montanie, którym od czasu do czasu ginęły różne drobne choć wartościowe drobiazgi. Dziwnym trafem znajdowano je zawsze u p. Twaina. Współlokatorzy byli zmuszeni udzielić mu dla jego własnego dobra przyjacielskiego napomnienia, po czym dali mu niezłą nauczkę i poradzili, aby pozostał im na stałe próżnie w miejscu, w którym zwykł był przebywać w obozie. Czekamy na wyjaśnienie p. Twaina w tej sprawie.

Czy można było zdobyć się na większą złośliwość? Nigdy w życiu nie byłem w Montanie.

(„Gazette“ nie nazywała mnie odtąd

Znakomity pisarz amerykański Mark Twain niejednokrotnie chlostał biczem satyry zwyrodnienia „dolarowej demokracji“, rządzonej po dyktatorsku przez magnatów pieniądza. Opowiadanie p.t. „Jak kandydowałem na gubernatora“ świetnie oddaje atmosferę oszczerstw i terroru moralnego, w której odbywają się wybory w Stanach Zjednoczonych. Każdy kandydat niezależny, nie związany z maszynami partyjnymi obu wielkich stronnictw burżuazyjnych — Republikanów i Demokratów — narażony jest na przejścia, które opisuje Twain. Bywa zresztą i gorzej. Jeśli kandydat nie da się sterroryzować oszczerstwami i kalumniami, wtedy idą w ruch noże, kastety i rewolwery gangsterów... Ale Twain nie ograniczał się do samej tylko satyry. W roku 1904 zdemaskował machinacje, towarzyszące wyborowi Teodora Roosevelta na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Twain oskarżył wręcz Teodora Roosevelta, że „kupił swe stanowisko za pieniądze, dopuściwszy się haniebnego przestępstwa, o które dawno go już podejrzewano“. Gdy Teodor Roosevelt temu zaprzeczył, Twain uderzył jeszcze mocniej: „Prezydent dodał jawne kłamstwo do listy swych przestępstw“ stwierdził i wyjaśnił: „Mr Harriman i jego współnicy najpierw kupili Roosevelta, a potem zapłacili za jego wybór“.

inaczej, jak „Twain, złodziej z Montany“).

Brałem teraz do rąk dzienniki tak ostrożnie, jak człowiek, który podnosi kółkę spodziewając się znaleźć w łóżku żmiję. W parę dni później znalazłem znów taki oto artykuł:

KLAMSTWO PRZYGWOZDZONE

Złożone pod przysięgą zeznanie pp. Michala O'Flanagana, esq. z Five Points, oraz Snub Rafferty i Catty Mulligana z Water Street jednogłośnie dowodzą, iż fałszywe oświadczenie p. Marka Twaina na temat dziadka naszego kandydata pozbawione jest wszelkiego pokrycia w rzeczywistości. P. Twain ośmielił się mianowicie stwierdzić, iż zmarły dziadek powszechnie szanowanego p. Blank J. Blank powieszony został za rabunek uliczny, co jest ohydny i ordynarny łgarstwem. Jest rzeczą obrażającą, iż dla doraźnych celów politycznych nie daje się spokoju ludziom nawet w grobach, obrzucając błotem ich czcigod-

chetniejsi spośród czytelników“ opanowani szlachetnym oburzeniem, wyrzucili mnie w nocy z mojego własnego mieszkania łamiąc meble i okna oraz unosząc ze sobą to wszystko, co byli w stanie unieść. A jednak gotów jestem przysiąc na wszystkie świętości, że nigdy nie obraziłem pamięci dziadka p. Blank. Więcej jeszcze, nie słyszałem o nim aż do chwili ukazania się wspomnianego artykułu.

(Nawiasem mówiąc, dziennik ten nazywał mnie odtąd „Twain, profanator zwłok“).

Następna wzmianka, która przykuła moją uwagę, brzmiała następująco:

LADNY KANDYDAT!

Mark Twain, który miał wczoraj wygłosić mowę na wiecu niezależnych, nie przybył wcale na wiec. Lekarz jego doniósł telegraficznie, że p. Twain ma nogę złamaną w dwóch miejscach. Pacjent cierpi okropnie — itd. itd.



Rys. M. Rudnicki

ne nazwiska. Kiedy pomyślimy o tym, jak wiele boleć muszą podobne zniewagi rodzinę i przyjaciół nieodżałowanego nieboszczyka, nie możemy oprzeć się chęci zaapelowania do szanownych wyborców, aby udzielił nauczki zdziaczemu oszczercy. Ale nie! Pozostawmy go raczej na pastwę wyrzutów sumienia (choć załóżmy szlachetniejsi spośród czytelników że dali klamy obrażenia cielesne, nie ulega wątpliwości, że nie znalazłby się sąd, który potępiłby ich za ten wzniósł uczynek).

Misterne ostatnie zdanie tego artykułku wywarło taki skutek, że „najsza-

Było to fantastyczne, całkiem fantastyczne, że właśnie moje nazwisko zamieszane było w podobną sprawę. Przeszło trzy lata minęły już od chwili, kiedy miałem w ustach ostatnią kroplę alkoholu.

(Już od następnego numeru dzienników nazywał mnie stale: „Pan Delirium Tremens Twain“).

W tym samym czasie zaczęły do mnie napływać w wielkiej ilości listy anonimowe. Treść ich była zawsze niemal jednaka:

Jak to było z tą kobietą, którą pan pobił, kiedy prosiła o jałmużnę? Pol Pry.

Albo:

Popełnił pan serię lądactw, o czym nie wie nikt prócz mnie. Radziłbym więc panu przestać mi odwrotnie kilka dolarów, gdyż inaczej zrobię z tego użytek w gazetach. Handy Andy.

To chyba wystarczy. Mogłbym cytować więcej, gdybym chciał zmęczyć czytelnika.

Wkrótce potem centralny organ republikański zarzucił mi przekupstwo na wielką skalę, zaś centralny organ demokratyczny przytoczył „fakty“, świadczące, iż usiłowałem zyskać bezkarność w pewnych sprawkach za pomocą szantażu.

Z tej racji zyskałem dwa nowe przydomki: „Twain, brudny łapownik“ i „Twain, podły szantażysta“.

Odtąd domagano się ode mnie odpowiedzi ze wszystkich stron i z taką natężnością, że nie tylko redaktorzy, ale również i przywódcy mego stronnictwa orzekli, iż dalsze milczenie z mej strony stanie się moją zgubą polityczną. Na domiar złego nazajutrz ukazał się w jednym z dzienników następujący artykuł:

PRZYJRZYJCIE MU SIĘ DOBRZE!

Kandydat niezależnych wciąż jeszcze milczy. Robi to dlatego, że nie ma dość odwagi, aby zabrać głos. Wszystkie oskarżenia przeciwko niemu są w pełni umotywowane, zaś swym milczeniem potwierdza on jeszcze stokrotnie ich słusność. Niezależni, przyjrzyjcie się swojemu kandydatowi! Spójrzcie na ohydny krzywoprzysięcę, złodzieja z Montany, profanatora zwłok! Podziwiajcie tego deliryka, brudnego łapownika, podłego szantażystę! Zastanówcie się i powiedzcie, czy możecie złożyć wasze głosy na człowieka obciążonego tak wstrętnymi zbrodniami, który nie posiada nawet dość odwagi, aby pisać słówko w swojej obronie!

Nie, dłużej nie mogłem milczeć. Zanim jednak przygotowałem „odpowiedź“ na tę potworną ilość zarzutów, jeden z dzienników zarzucił mi, że spaliłem dom wariatów li tylko dlatego, że przysłał mi widok z mojego okna. To sprawiło mnie w jakiś niesamowity lek. Zaraz potem przeczytałem zarzut, iż otrujęm mego wujaszka pragnąc zawiązać jego majątkiem — zarzut połączony z żądaniem ekshumacji zwłok. Omal że nie zwariowałem! Następnie oskarżono mnie, że będąc dyrektorem przytulku, używałem do najcięższych robót zniedołężniałych i bezzębnych starszków. Zaczęłem poważnie się wahać, czy nie wycofać się z tej całej awantury. Na koniec jednak, jako ukoronowanie wszelkich oszczerstw, rzucanych na mnie przez przeciwników politycznych, nastąpiło zwołanie całej chmary dzieciaków różnej wielkości i maści i nakazanie im, by wołały w czasie mego przemówienia na wiecu: „Tatus, tatus!“

Dalem więc za wygraną. Uległem. Nie dorosłem widać do wysokiego stanowiska gubernatora stanu New York. Wycofałem moją kandydaturę, przy czym tak podpisałem się na mym liście:

Z szacunkiem

Mark Twain

niegdyś porządny człowiek, dziś ohydny krzywoprzysięca, złodziej z Montany, profanator zwłok, deliryk, brudny łapownik, podły szantażysta itp.



Jako gajowy w „Dziewczynie z lasu” Szaniawskiego. Rok 1939.

TWARZ STEF

Napisał: STANISŁAW

WALCZĄC o pogłębienie i rozwój realistycznej sztuki aktorskiej, mówiąc o pracy aktora nowoczesnego, przestrzegał Stefan Jaracz adeptów scenicznych i ogół widzów przed rozpowszechnioną opinią o łatwości tej sztuki. „Sztuka aktorska — dowodził — ma nierównie cięższe przeszkody i trudności do opanowania, niż każda inna sztuka. Istnieje strasznie trudny do opanowania instrument sztuki aktorskiej... Tym instrumentem jest własne ciało. I choć każdy człowiek ten instrument posiada, z tego wcale nie wynika, że potrafi na nim grać, jak nie wynika wiedza z posiadania biblioteki, czy muzyka z posiadania fortepianu. I nie wystarczy najwspanialsze warunki ciała, by stać się aktorem. Granie na pile może nam dać rozkosz, partolnienie na najlepszym Bechsteinie może doprowadzić do zbrodni. Skoro sobie uświadomimy jasno klawisze, na których my, aktorzy, mamy grać, czyli dawać plastyczny wyraz naszym tysiącnym uczuciom, to jest: nasze oko, usta, zęby, język, struny głosowe, ręce, nogi, nawet brzuch i plecy, to już mamy przed sobą skomplikowany instrument, który musimy posiąść, na którym musimy całe lata ćwiczyć... Poznanie zalet, wad, możliwości swego ciała jako instrumentu aktorskiego jest pierwszym zasadniczym obowiązkiem aktora...”

Gdy młodzińczy syn chłopski spod Tarnowa, Stefan Jaracz, postanowił w roku 1904 studia na Uniwersytecie Jagiellońskim zamienić na aktorstwo, zakrzyczano go przede wszystkim, że ma nieodpowiednie tzw. warunki sceniczne, nie szczędzono szyderstw. Zanotował wówczas w pamiętniku: „Człowiek, który dla swej idei nie potrafi znieść ośmieszania, nie jest jej wart” — i poszedł na scenę.

Temu, co nie znał Stefana Jaracza, nie widział go w żadnej roli, temu nic nie powie opis jego osoby, dokonany (około 1930 r.) w paszporcie zagranicznym: „Wzrost — 164 cm, włosy — blond, brwi — blond, oczy — piwne, nos — prosty, usta średnie, broda — wystająca, twarz — owalna, znaki szczególne — żadne”. Raczej należałoby stwierdzić, posługując się Jaraczowym porównaniem z dziedziny muzyki, że przyrodzone warunki — pile podobne — zamienił w niesłychanie bogaty, najdelikatniejsze subtelności wyrażający instrument.

„Jaracz nie odznaczał się urodą — pisał raz Iwaszkiewicz. — Był zupełnie małego wzrostu i głos jego niski i nieładny posiadał pewnego rodzaju niefortunną chrapliwość. Oczy miał małe i bardzo chytre — ale jakim środkiem wyrazu uczynił on te oczy i ten głos, i ten uśmiech niezapomniany, który od czasu do czasu rozjaśniał rui twarz niezwykle blaskiem. Tołstoj po-

wiada, że żadnej twarzy nie można nazwać piękną lub brzydką, dopóki się nie widzi jej uśmiechu; jeżeli uśmiech twarz ozdabia, taka twarz jest prawdziwie piękna. Otóż właśnie Jaracza twarz można było nazwać piękną w sensie tołstojowskim”.

W pierwszych latach pracy scenicznej Jaracza recenzenci wytykali mu „drewniany głos”. W dwadzieścia kilka lat później Jaracz wstrząsnie wielotyśięcznych słuchaczy radia kreacją Sokratesa w słuchowisku, opartym na tekście Platona. Głos Jaracza, urzekający swą fascynującą niepowtarzalnością, sugestywny i bogaty w aktorską dynamikę, pełen smutku i ciepła, jednogodzinny monologiem trzymał w napięciu wszystkich, zgromadzonych przy głośnikach. Tragizm ostatnich chwil Sokratesa wypijającego truciznę wydobyl Jaracz po prostu i spokojnie głosem dźwięczącym pogodą i uśmiechem, tonami niewspółmiernymi z treścią mówionego tekstu i przebiegiem akcji.

Do takiej doskonałości doprowadzał Jaracz nieustanną pracą instrumentu swej sztuki aktorskiej.

„Instrument sztuki aktorskiej — głosił Jaracz — jest tym trudniejszy do opanowania, że jest zmienny. Wraz z przeżyciami, ze stanem naszego fizycznego zdrowia, z wiekiem, zmienia się i nasz instrument. I środki naszej gry musimy nieustannie dostosowywać do tych zmian. Stąd płynie obowiązek aktora uporczywego kontrolowania swych środków”.

U aktora takiego jak Jaracz, walczącego o społeczny sens teatru i dążącego do realizacji konkretnych społecznych zadań własnej sztuki aktorskiej, przeżycia, przemiany ideologiczne, dążenia wpływają głęboko na świadomy wybór środków gry, artystycznie zharmonizowanych z możliwościami i warunkami fizycznymi w danym okresie.

Swoją pracę aktorską zaczynał w warunkach trudnych. Nędra niedożywionego, poważnie zagrożonego gruźlicą, nie pozwoliła na uniwersyteckie studia. Bezaradność i beznadziejność tej nędzy, uwarunkowanej przemocą kapitalistycznego ustroju, zaciążyła też i na Jaracza aktorstwie. Trudne warunki, psychiczne zahamowania przełamuje jednak z chłopską zawziętością.

Po pierwszych krakowskich próbach w lichym teatrze, tzw. „Ludowym” (u Gabryelskiego przy ul. Krowoderskiej), po rzemieślniczej szkole u E. Rygiera w Poznaniu, gdzie w prasie pisano o nim jako o „płaskim komiku”, Jaracz pracuje w Łodzi u wielkiego pedagoga i przyjaciela młodych, Aleksandra Zelwerowicza. „Żagiew postępu, entuzjastu, fantazji i poezji teatru” — tak Jaracz nazwie w swoich wspomnieniach „pioniera nowoczesnej reżyserii”.



Rejent w „Zemście”..Rok 1930.



Szwejk w roku 1930.



„Chory z urojenia”. Rok 1935.



W roli Pana Brotonneau. Rok 1935.



Napoleon w „Madame Sans-Gene”. 1934.



Prapremiera komedii S. Żeromskiego w „Ludowym” w Warszawie wystawionej w 1934 r. (Smugon), M. Niedzielska (Dorota), J. Dostowiec, L. Solski (Kleniewicz), W. Czyk (Bukoński), J. Sliwicki (Zabrzeżski-Krywultowa (Księżniczka), A. Różański).

ANA JARACZA

WITOLD BALICKI

Po Łodzi przyszła Warszawa i liczne wyjazdy „w teren”.

Jaracz długo szuka własnej twarzy. Przenośnie i dosłownie. Przez sporo lat, w pierwszym okresie aktorstwa, boi się wystąpić bez ostrej charakterystyki, nie doklejonego nosa. Grając wiele różnorodnych ról, już odpowiedzialnych, prowadzących, stara się ukryć swoją osobę poza maską, kostiumem. Od „klap” idzie do zwycięstw. Ale pod koniec drugiego dziesiątka lat swego aktorstwa Jaracz ma już opanowany instrument swej sztuki, ma już swą samowiedzę społeczną, zaskakującą indywidualność. Ma już zdecydowanie własne oblicze.

Jego sceniczne postacie: pan Brotonneau (ze sztuki francuskiej), Franio ze „Szczęścia Frania” i Siewski z „Uśmiechu losu” Perzyńskiego, Skid z melodramatycznego sztuczydła o „artystach” itd., nie różnią się fizjonomią — na pozór! — od siebie i od Stefana Jaracza. Używa im własnej twarzy, gra bez charakterystyki, w „cywilnym” ubraniu. Ale wryza się z pasją we wnętrze każdej roli, wstrząsa najgłębszymi kreacjami psychologicznymi. Jego umiłowanie — postacie biedne, opuszczone, krzywdzone. Daje im własną twarz, ukazuje je z siłą publiczności. Ich cierpienia, ich walki wewnętrzne wyraża postawą, grą pleców (a tak!), ruchem rąk, a przede wszystkim nieuszminkowaną twarzą! Poprzez sztukę ukazywania cierpiącego i poświęcającego się człowieka — znajduje Jaracz rekompensatę za bezsens swoich młodszych krzywd.

Ale rozumie Jaracz, że to wszystko mało. Że aktorstwo musi dążyć do czegoś więcej. Sięga po równie niezapomniane — dla nas, cośmy go widzieli i z nim jego role przeżywali — role Szwajkara i szewca Voigta („Kapitan z Koepenick”). Tymi rolami rozpoczyna Jaracz etap wielkiego społecznego buntu. Rola biednego, uciśnionego szewca demaskuje system militarystyczny; inną rolę, demoniczną i przejmującą, Szeli w „Turoni” Żeromskiego, ukazuje wielowiekowe krzywdy i zbrodnie szlacheckiego feudalizmu na chłopie polskim.

Równocześnie w aktorstwie i w reżyserii Jaracza — jest to etap odkłamywania historycznych i psychologicznych wyobrażeń o człowieku, docierania do głębi społecznej człowieczeństwa, ujmowanego już często z klasowo słusznego punktu widzenia. Jest to etap rewidowania spojrzeń na tzw. klasyczny repertuar, zdzierania schorzałych narośli naturalistycznego szablonu na tradycjach koncepcji reżyserkich, przewalczania w teatrze realizmu tylko opisowego.

Jaracz szuka, Jaracz eksperymentuje. Ale od aktorskich przerysowań, przerysowania pomysłami reżyserkich, dochodzi

do klasycznej prostoty, umiaru, którymi rządzi zawsze pasja i dążenie do wyrazistej prawdy. Jaracz daje teraz postaciom przez siebie granym ich własne, pełnokrwiste, dosadne w plastyce i wyrazie twarze. Znajduje wreszcie najpełniejsze rozumienie dręczącego go od pierwszych kroków zagadnienia, jak być sobą i równocześnie postacią żadaną przez autora.

Przebył drogę jaskrawo ukazuje nowe ujęcie już dawniej granej roli pana Brotonneau. Jaracz, łączący się zawsze i scalający z obcym a bliskim mu bytem ludzkim, dawniej przybierał na się wybraną postać i siłą swej indywidualności twarz tej postaci i przeżycia tej postaci wyrażał swoimi wartościami. Teraz, a są to lata drugiego dziesiątka międzywojennego dwudziestolecia, Jaracz — dojrzały realista — podporządkowuje się świadomości właściwościom obcego a bliskiego mu bytu ludzkiego, by tym dogłębniej, tym wszechstronniej ukazać człowieka. Pan Brotonneau ma już więcej lat, ma charakterystyczną bródkę, ma dojrzałe spojrzenie na konflikty, w które się wika. Jaracz, zachowując podstawowe linie swego stosunku do pana Brotonneau, innymi środkami, inne w szczegółach treści ludzkie wyraża.

Są to również lata Jaraczowego Rejenta w „Zemście”, Pana Geldhaba, Chorego z urojenia, Arnolfa Rosochackiego ze „Szkół żon”, Świętoszka, Marcowego kawalera, Podkolesina w „Ożenku”, Bartola w „Cyruliku Sewilskim”, Baszmaczka w „Płaszczu” Gogola itd. itd.

Dzieje się to wszystko już we własnym Jaracza teatrze, który był protestem przeciw nudzie, marazmowi, szablonowi teatrów miejskich, rządowych i tych prywatnych, które ugrzęzły w formach kapitalistycznego przedsiębiorstwa. Mimo wielu klęsk, kompromisów, załamań finansowych czy nieporozumień artystycznych — ma, nieujarzmiony i walczący stale sam z sobą Jaracz, w tym okresie działalności charakter nieugięty, poczucie społecznej odpowiedzialności. Widzi jasno „rozkładające się cielsko teatru bylejakiej epoki”, przeciwstawia się gwałtownie spekulacji, amerykańskim ideałom przedsiębiorstw handlowych, kapitalizacji teatru, rozbudowywanej pod egidą osławionego, sanacyjnego TKKT, tępi brutalnie nierobstwo i niechlujstwo, powołuje się na przykład wielkiego Stanisławskiego, na atmosferę i kulturę, styl współzawodnictwa artystycznego teatrów radzieckich. Walczy o polską twarz teatru.

W roku 1936 Jaracz na zjeździe aktorstwa, w referacie o pracy aktora, powołując się znowu na system pracy Stanisławskiego, głosi stanowczo, że „właściwa twórczość aktora dokonująca się



Szela w „Turoni” Żeromskiego. Rok 1935.

dopiero w zespole”, którego należała atmosfera, twórcza praca jest „planową akcją społeczną”.

W notatniku przedśmiertnym, pisanym po ciężkich latach faszystowskich zbrodni i przeżyciach Oświęcimia, wyznawał Jaracz: „Jakież to nieszczęście, że młodość moja przypadła na czas panowania indywidualizmu. Potrzeba było aż dwóch światowych wojen, aby się przekonać o tej prostej prawdzie, że człowiek sam (indywiduum) nie znaczy nic. Wszystko, co ma, czym się chlubi jako tak zwana kultura — wszystko zawdzięcza nieopisanym ofiarom wysiłków milionów. Na skróconym przykładzie widać to w teatrze... Zharmonizowanie wszystkich elementów teatru w jedną zbiorową całość wywołuje najsilniejszy odzew w drugiej zbiorowości na widowni”.

O tej widowni, o zbiorowości nowej — myślał głęboko Jaracz, gdy w sierp-

niu 1945 r., na kilka dni przed śmiercią, z Otwocka na warszawski sejmik aktorski pisał list - testament, pełen dojrzałej wiedzy i walki o polski, narodowy, bo ludowy wreszcie teatr:

„Po raz pierwszy w dziejach występuje człowiek pracy jako aktor i żąda najpierw zaspokojenia fizycznego głodu dla każdego życia, bo takie są prawa w hierarchii życia, ale już wydaje się, że szybko zażąda zaspokojenia głodu ducha. Co się stanie, gdy tęsknota tych milionów wzmoże się w tym kierunku do żarliwości?...

Nadszedł czas, że teatr może się stać nareszcie poważną instytucją w budowie Kultury Narodu, taką, jaką jest w świadomości społeczeństwa bezspornie szkoła.

Żądam od każdego teatru s ł u ż b y i d e o w e j”.



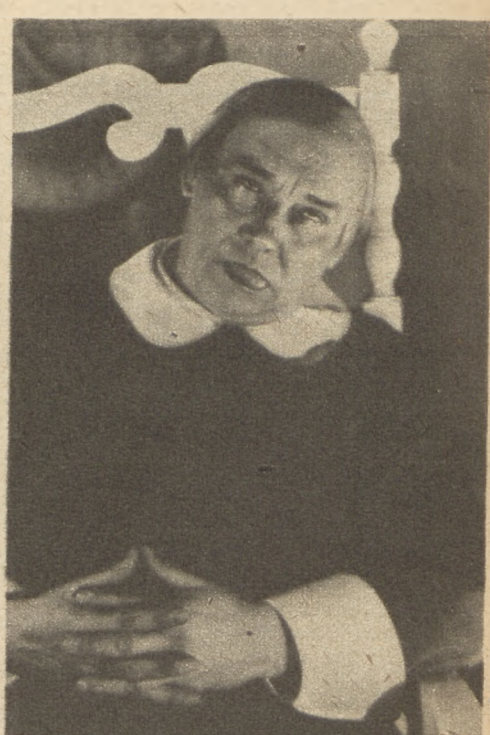
„mi przepióreczka” w Teatrze Narodowym 1924. Na zdjęciu (od prawej): S. Jaracz, J. Zieliński (Raszkowski), J. Chmieliński (Ciekocki), Trap (Małowski), J. Osterwa (Przełęcki).



W roli Felicjana Dulskiego, 1934.



Jako Arnolf w „Szkole żon”. Rok 1936.



Bartolo w „Cyruliku Sewilskim”. 1939.



A IS FOR ATOM

A dozen times, the awesome mushroom has risen in view of these youngsters, 25 miles from the Nevada test site. Here's the story of our most atom-ic kids.

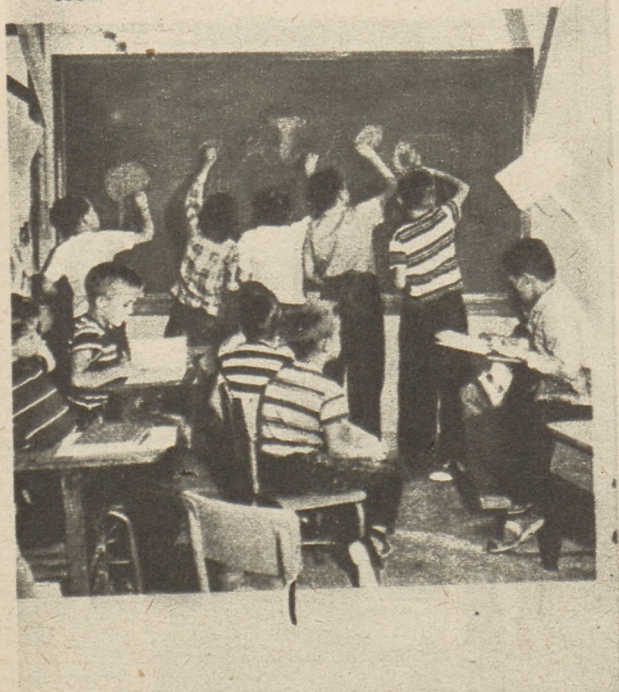
„A oznacza atom” — to tytuł artykułu w „Collier's”, poświęconego szkole wychowującej w „duchu atomowym”. Oto ćwiczenia praktyczne na dziedzińcu szkolnym.



Mrs. Elsie E. Beiler teaches primary graders the atomic alphabet: „A is for atom,” „B is for bomb.”

Podpis pod tym zdjęciem wyjaśnia: „Pani Elsie E. Beiler uczy wychowanków pierwszej klasy atomowego abecadła: „A oznacza atom”, „B oznacza bombę”.

Children take to the blackboard to show how blast looked. For other impressions see opposite page



Podpis nad powyższym zdjęciem głosi: „Dzieci rysują na tablicy, jak wygląda wybuch bomby atomowej. Inne rysunki zamieszczamy na sąsiedniej stronie”

ELEMENTARZ ŚMIERCI

ZDJĘCIA i cytaty pochodzą z tygodnika amerykańskiego „Collier's”. Tego samego, który przed kilku miesiącami wydał specjalny numer, poświęcony propagandzie trzeciej wojny światowej. Tym razem „Collier's” rozplywa się z zachwytu nad jedną ze szkół amerykańskich w Indian Springs w stanie Nevada, która wychowuje dzieci w duchu „atomowym”. „Collier's” zaleca wszystkim szkołom amerykańskim, by brały przykład z tego wzoru.

Na czym to wychowanie polega, wyjaśnia autor artykułu zatytułowanego „A oznacza atom”. A oznacza atom w elementarzu stosowanym w tej szkole. B oznacza tam bombę. I tak dalej.

„Uczniowie pierwszej klasy, tłumaczy nam jedna z dwóch nauczycielek szkoły, Mrs. Elsie E. Beiler, uczą się wcześniej sylabizować słowa „atom” i „bomba” niż słowo „matka” — pisze z zachwytem „Collier's”. — Uczniowie siódmej i ósmej klasy są już tak uświadomieni w dziedzinie atomowej, że prowadzą między sobą gorące dyskusje, czy należy rzucić od razu bombę atomową na Rosję...”

„Szkoła w Indian Springs — ciągnie autor artykułu — stała się placówką doświadczalną w zakresie uświadamiania dzieci na temat bomby atomowej... Dzieci otrzymują tu takie same wykształcenie psychologiczne, jak żołnierze z odpowiednich formacji bojowych”.

Obecny przy zwiedzaniu szkoły przedstawiciel Komisji Kontroli Energii Atomowej wyraził opinię, że gdyby wszystkie dzieci amerykańskie były w ten sam

sposób wychowywane — „pozbylibyśmy się niepotrzebnej i nieuzasadnionej, a wciąż jeszcze panującej w USA obawy przed bombą atomową”.

Rezultaty tego „wychowania atomowego” sprawdził współpracownik „Collier's” przysłuchując się rozmowom, prowadzonym przez uczniów szkoły.

„Widok żołnierzy korpusu piechoty morskiej, którzy brali udział w ostatnich manewrach atomowych — pisze — wywarł na dzieciach duże wrażenie. Czwórka uczniów omawiała swe plany na przyszłość:

— Ja pójdę do piechoty morskiej — oświadczył ośmioletni chłopak.

— Ja też — odpowiedział drugi.

— I ja — dodał trzeci.

— A ja nie — zawołał czwarty. — Ja chcę być kowbojem, brać udział w pokazowych jazdach i zarabiać 10.000 dolarów za każdy występ!

— To ty się nie chcesz bić! — krzyknął z pogardą pierwszy...

W tym dziecięcym dialogu ze zdumiewającą dokładnością odbija się cała istota przemian, zachodzących wśród amerykańskiej burżuazji. Młodociany entuzjasta konnej jazdy ulega jeszcze czarowi legendy Dzikiego Zachodu i marzy o zarabianiu mnóstwa dolarów. Jego oponenci myślą już w kategoriach „atomowych” i marzą o wojnie i podbojach. Tych jest znacznie więcej. „Wychowanie atomowe” i „elementarze śmierci” wydają bujne owoce...

Oto reprodukcja owej „sąsiedniej stronicy” z numeru „Collier's”, datowanego 21 czerwca 1952 roku. Pośrodku zdjęcie fotoreporterskie wybuchu bomby atomowej. Dokoła rysunki dzieci, których wiek waha się od 9 do 13 lat.



Rare, striking color photo of atomic explosion, by Collier's John Horra, is shown with kids' crayon versions. Clockwise from upper left they're by Gary Buckner, 9; Dick Bower, 13; Lewis Larsen, 9; Charlotte Ray, 12; and Mary Agnes Cordova, 9

nasz fotokorespondenci donoszą

WYSTAWA GÓRNICZA

Dziwili się niektórzy, po co urządzać wystawę górniczą w mieście górników i hutników, gdzie nawet dzieci wiedzą, jak wygląda praca ich ojców — a tymczasem... w ciągu 5 dni ponad 10.000 osób zwiedziło

najciekawsze, na specjalną uwagę zasługuje wrażliwość uniwersalna, którą racjonalizatorzy kopalni „Siemianowice”, inż. Jerzy Kasparek i inż. Zdzisław Cześnik, zastosowali jako wrębo-ladówkę. Dalej obserwujemy pracę znanego już dzisiaj we wszystkich kopalniach „kaczego dzioba”, którego wydajność wynosi 40 ton na godzinę.

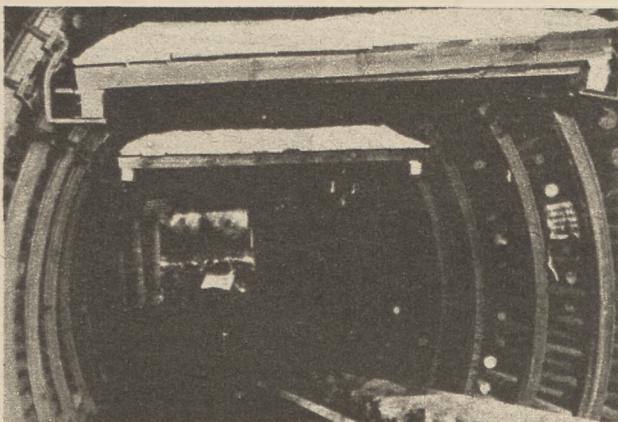
Następnie wystawa obejmuje nowoczesną, zmiechanizowaną ścianę wraz z obudową, składającą się z betonowych krawków (duża wytrzymałość), pomysłu inż. Kasparek i inż. Cześnik. Zaletą tej obudowy jest jej łatwa wymiana.

Ekspozycje wystawy ukazują nam wspaniały dorobek Klubu Techniki i Racjonalizacji przy kopalni „Siemianowice”. Sukces ten Klub ma do zawdzięczenia stałej opiece Podstawowej Organizacji Partyjnej oraz Rady Zakładowej. Szczególną troskę o Klub okazują dyrektor, inż. Gadowski, oraz I Sekretarz, tow. Fabryczny.

Ogólnie musimy stwierdzić, iż dzięki stałej pracy naszych racjonalizatorów praca na kopalni staje się coraz łatwiejsza.

M. Joniec i Z. Niegowski,

Kopalnia „Siemianowice”



Chodnik wraz z fragmentem „kaczego dzioba”

NA ROŻNOWSKIM JEZIORZE

Czy można przyjemniej spędzić upalną, letnią niedzielę lub święto?

Spójrzcie, jak rozkoszujemy się słońcem, wodą i wspaniałą przejażdżką.

Wycieczka żaglówką po Rożnowskim jeziorze dostarcza nam wiele niezapomnianych wrażeń. Wyobraźcie sobie spokojne, lekko falujące wody jeziora, idealnie czyste powietrze, powiew wiatru i rozciągający się aż do horyzontu przepiękny krajobraz. Sama zaś jazda żaglówką, wymagająca pewnych umiejętności żeglarskich, była dla nas „mieszczuchów” nielada przeżyciem. Czasem przez jeden nieostrożny ruch mogliśmy nabawić się nieoczekiwanej kąpieli, ale na szczęście — kapaliśmy się tylko wtedy, gdy mieliśmy na to ochotę.

A teraz się Wam przedstawimy:

Jesteśmy członkami ZKS Górnik w Bochni i wycieczka, z której załączono zdjęcie, była nagrodą za zdobycie przez nas mistrzostwa województwa krakowskiego w piłce ręcznej.

Nagroda ta była dla nas naprawdę niespodzianką i dziś, po wycieczce, możemy zapewnić nie tylko inne Kluby, ale nawet i zakłady pracy, że przykład ten godny jest naśladowania. A uroczę jezioro Rożnowskie, które jest stajm, ulubionym miejscem licznych wycieczek żeglarskich, zaprasza.

Jerzy Freudenheim, Bochnia
Zdjęcie: Władysław Dziurzycki

PLON JEDNEJ NARADY



Marian Stoliński przy pracy

Do niedawna były trudności z wymianą uszkodzonych strzykawek na nowe, a reperacje trwały nieraz bardzo długo. Dlatego na jednej z narad produkcyjnych Spółdzielni im. Świerczewskiego w Wałbrzychu powstał projekt, aby przystąpić do naprawy strzykawek, a nawet do produkcji nowych.

Obecnie Spółdzielnia może już przyjmować strzykawki do naprawy z terenu całego kraju.

Wśród pracowników wybija się na przodujące miejsce Marian Stoliński, zatrudniony przy szlifowaniu cylindrów do strzykawek. Szlifował on przeciętnie 20 sztuk cylindrów dziennie — ale ostatnio podjął zobowiązanie podniesienia wydajności swej pracy do 40 sztuk dziennie.

L. Kucharzewski, Wałbrzych

WITAMINA „C” Z OWOCÓW DZIKIEJ RÓŻY

W Poznańskich Zakładach środków Odżywczych powstała w ubiegłym roku po raz pierwszy w historii polskiej gospodarki nowa gałąź przemysłu — przemysł koncentratów witaminowych z surowców naturalnych.

Realizując podjęte przez siebie zobowiązania, grupa młodych chemików, pracowników laboratorium badawczego naszych zakładów, zawiadomiła w dniu 1 maja 1951 r. o wyprodukowaniu pierwszego kilograma koncentratu witaminy „C” z owoców krajowej dzikiej róży.

W dniu rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej 7 listopada 1951 r. załoga Poznańskich Zakładów środków Odżywczych zameldowała o uruchomieniu we własnym zakresie i własnymi siłami stacji doświadczalnej, produkującej koncentrat witaminy „C” na skalę półtechniczną. Obecnie nasza stacja doświadczalna produkuje już tony tego koncentratu, a w najbliższym czasie puszkę koncentratu owocowo-witaminowego o zawartości do 500 mg witaminy „C”, pojawia się w sklepach handlu spożywczego. Koncentrat ten, rozpuszczony w wodzie (łyżeczka na szklankę) i osłodzony, daje smaczny i jednocześnie bardzo cenny pod względem odżywczym napój. Dodany do herbaty przypomina smakiem naturalny sok cytrynowy.

Koncentraty witaminowe mogą być bardzo użyteczne przy zapobieganiu chorobom spowodowanym niedostatkami ilością witamin w pożywieniu.

niu, zwłaszcza że według badań uczonych radzieckich koncentraty z surowców naturalnych mają znacznie wyższą aktywność biologiczną niż syntetyczne witaminy produkowane przez przemysł chemiczny.

Nie poprzestając na uzyskaniu sukcesu, zespół naszego laboratorium badawczego rozpoczął badania nad uzyskaniem koncentratów innych witamin również z surowców naturalnych.

Dla uczczenia święta 1 Maja br. wyprodukowano w naszym laboratorium badawczym pierwszy kilogram koncentratu olejowego karotenu (prowitaminy A z marchwi).

Koncentrat zawiera 250 mg czystego karotenu w 100 g oleju. Koncentratu tego będzie można użyć do witalizowania środków żywnościowych, jak np. olejów jadalnych, margaryny itp.

W planie badań naszego laboratorium na rok bieżący znajduje się również opracowanie metod produkcji koncentratów witaminy E z kielków pszenicy.

Poza Związkiem Radzieckim będziemy pierwszym krajem na świecie, w którym rozwinie się na szeroką skalę produkcja cennych witamin ze źródeł naturalnych.

Aleksander Reinhercs
Główny Inżynier PZSC



W laboratorium badawczym PZSC: (od prawej) mgr. Świerczyński, mgr. Reinhercs, mgr. Pazoła i asystent Stefaniak

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

Bożena T., Sulejówek: Klub Dobrej Książki już nie istnieje. O poradę w sprawie doboru wartościowych książek należy zwrócić się do najbliższej Gminnej Biblioteki.

Józef J., Brodnica, n/Druć: Nadesłanych zdjęć wykorzystać nie sposób bez uzupełniającej korespondencji. Tekst powinien mieć 1-2 strony maszynopisu. Fotografii bliźniąt na „wczasach” wykorzystamy, jeśli tylko przysłacie nam trochę tekstu opisowego. Postarajcie się, aby był dowcipny.

Henryk W., Toruń: Korespondencji bez zdjęć w naszym dziale wykorzystać nie możemy.

Janusz Domański, Zdanów: Brakujące numery zamówić można listownie w PPK „Ruch” Warszawa, ul. Wiejska 12.

Czesław Cz., Toruń: Nadesłanych artykułów, o ile nie były zamawiane przez redakcję, nie zwraca się, ani też nie zawiadamia się autora o odrzuceniu czy zakwalifikowaniu ich do druku.

Eugeniusz Z., Ursus: Za mało tekstu przysłaliście do zdjęcia Delegatów na Zlot, którzy

odwiedzili Wasze zakłady. Obecnie temat ten jest już nieaktualny.

Tadeusz St., Bydgoszcz: Prosimy o obszerniejsze i dokładniejsze opracowanie tematu — Wasza korespondencja o nowym stadionie sportowym jest stanowczo za skąpa. Zdjęcia dobre.

Eugeniusz B., Legnica: Załączone przez Was zdjęcia są nieostre i szare, i z tego powodu reprodukcja ich w naszym piśmie nastreza wiele trudności. Bez znajomości Waszego aparatu trudno ustalić przyczyny tej nieostrości. Może być ona spowodowana wadą obiektywu, ale też i złym nastawieniem odległości przez fotografującego. Korespondencję Waszą wykorzystamy. Prosimy o dalszą współpracę.

K. Gajek, Skarżysko: Uszkodzenie aparatu, o którym piszecie w liście, da się usunąć. Podajemy adres mechanika — specjalisty: Aleksander Osipow, Warszawa-Praga, ul. Świdzka 39 m. 58 lub Stanisław Kostyra, Al. Jerozolimskie 51.

Radzimy przed wysłaniem lub ewent. przywiezieniem aparatu do Warszawy, z mechanikami tymi porozumieć się listownie.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

OGNISKOWA

Omawiając poprzednio problem głębi ostrości pisaliśmy, iż jednym z czynników wpływających na jej wielkość, jest ogniskowa obiektywu. Nie wyjaśniliśmy jednak bliżej jej istoty i znaczenia, zatrzymaliśmy się więc obecnie nieco dłużej nad tym zagadnieniem.

Ogniskowa obiektywu — to jedno z podstawowych zagadnień fotografii, nader doniosłe tak dla budowy obiektywu, jego „kąta widzenia”, jak i dla głębi ostrości.

Gdy weźmiemy do ręki jakąkolwiek soczewkę skupiającą, popularnie zwaną szkłem powiększającym, i skierujemy ją ku słońcu, z drugiej zaś strony będziemy przybliżali i oddalali kartkę papieru, zauważymy, iż w pewnej odległości otrzymamy najmniejszy a zarazem najjaśniejszy punkt, będący obrazem słońca. Dzieje się to na skutek załamania się promieni słonecznych, padających na całą powierzchnię soczewki, a następnie przecięcia się tych promieni w dalszym ich biegu w jednym punkcie, stałe jednakowo odległym dla danej soczewki. Obserwujemy wyraźnie, iż obraz tarczy słonecznej wyrysowany jest ostro tylko w jednej stałej odległości soczewki od papieru — odległości ta, to właśnie długość ogniskowa naszej soczewki, a mały jasny krążek na papierze — to punkt przecięcia się promieni, zwany ogniskiem.

Ogniskowa soczewki i całego obiektywu, będącego zespołem soczewek, traktowanych jako jedność, jest to odległość obiektywu od płaszczyzny negatywu, na którym wyrysowany jest ostro obraz przedmiotów, znajdujących się w bardzo znacznej „nieskończoności dalekiej”, odległości od obiektywu.

Upraszczając dość trudne zagadnienie optyczne długości ogniskowej, wyjaśnimy pokrótce, iż długość ogniskowej obiektywu (oznaczona literą „F”, od łacińskiego focus, czyli ognisko, podana zwykle w milimetrach lub centymetrach na oprawie obiektywu), musi być co najmniej równa długości przekątnej prostokąta czy kwadratu obrazu tworzonego przez dany obiektyw na negatywie.

Standartowa ogniskowa obiektywów w aparatach na taśmie filmową (rozmiar „klatki” 24 x 36 mm) wynosi 5 cm, a więc nieco więcej, niż przekątna prostokąta obrazu (43,3 mm). Przy obiektywach aparatów na formaty większe, do rozmiarów 6 x 6 cm, ogniskowa wynosi 7,5 cm, przy rozmiarach zdjęcia 6 x 9 cm, standartowa ogniskowa wynosi 10,5 cm, przy 9 x 12 cm — 13,5 cm.

Obiektyw o standartowej ogniskowej danego formatu zdjęć, posiada stały „kąta widzenia”, o rozwarości ok. 45 stopni. — Gdy do naszego aparatu zastosujemy obiektyw o ogniskowej krótszej niż standartowa, kąta obiektywu będzie szerszy, na naszym negatywie otrzymamy — fotografując z tego samego miejsca — więcej przedmiotów, lecz w mniejszej skali. Obiektywy o ogniskowej krótszej od standartowej, nazywamy szerokokątnymi, o ogniskowej dłuższej — teleobiektywami. Teleobiektywy w działaniu przypominają lornetkę — „przybliżają” fotografowane przedmioty, w porównaniu z obiektywami standartowymi dają nam na negatywie mniej obrazu, lecz w większej skali.

Przykład: fotografując z tego samego stanowiska osobę siedzącą na krześle w pokoju, przy zastosowaniu obiektywu szerokokątnego otrzymamy na zdjęciu postać w małej skali na szerokim tle wnętrza, przy użyciu obiektywu standartowego — sama postać wypełni nam całą powierzchnię obrazu, przy teleobiektywie — prostokąt naszego negatywu obejmie już tylko samą twarz w dużej skali.

Obiektywy wymienne, o krótkich i długich ogniskowych, nie we wszystkich aparatach mogą być stosowane, w praktyce fotografów — amatorów rzadko się je spotyka. Dysponując obiektywem niewymennym o standartowej długości ogniskowej (równie mniej więcej przekątnej obrazu i rozwarości kąta ok. 45 st.), musimy pamiętać o jego możliwościach: nie możemy fotografować z dala niewielkich stosunkowo przedmiotów, które chcemy otrzymać na zdjęciu w dużej skali, ani też z bliska rozległych obiektów architektury. W pierwszym wypadku potrzebny jest teleobiektyw, w drugim — obiektyw szerokokątny.

Nie martwmy się jednak tym ograniczeniem możliwości naszego aparatu — ma on pomimo to olbrzymie pole do popisu. Gdy chcemy wykonać czyjś portret, używając na zdjęciu samą twarz fotografowanej osoby, ustawiamy aparat w nieznacznej stosunkowo odległości ok. 2 m, a następnie powiększymy wycinek naszego negatywu. Gdy fotografujemy rozległy temat architektoniczny, a warunki terenowe nie pozwalają cofnąć się na wystarczającą dla objęcia całości budynku odległość, zrezygnujemy w braku obiektywu szerokokątnego z ujęcia całości, a wybieramy starannie odpowiedni fragment, który częstokroć silniejszą będzie miał wymowę na zdjęciu niż całość.

W pierwszej połowie XVI stulecia w Krakowie, pełnym rzemieślników, zamożnych kupców i innych przedstawicieli wciąż rosnącego w znaczenie mieszczaństwa, rodzi się, zwłaszcza pod wpływem napierającej fali reformacji, żywy ruch umysłowy. Wszechnica krakowska jest jedną z najpoważniejszych uczelni w Europie. Profesorowie, magistrzy nie ustają w nawiązywaniu kontaktów z zagranicznymi ośrodkami myśli postępowej, przywożą ze swoich podróży pięknie iluminowane rękopisy, zlecają we Włoszech i Francji przepisywanie rzadszych dzieł. Około roku 1440 zdarzyło się w pięknym niemieckim mieście Moguncji coś, co zasadniczo zmieniło w następstwie losy kultury ludzkiej. Jan Gutenberg wynalazł sposób mechanicznego odbijania liter. Z tą chwilą pękają łańcuchy, którymi do ścian bibliotek średniowiecznych przytwierdzano rzadkie, wspaniałe zdobione kodeksy. Myśl ludzka wyrażona w słowie, może być wielokrotnie powielana. Rozpoczyna się triumfalny rozwój sztuki drukarskiej. Kraków zaludniła się księgarzami, humaniści marzą o szerzeniu oświaty, mieszczaństwo żadne jest nowinek i wiedzy, kobiety wreszcie pragną zdobyć prawa. Wszystko to razem składa się na powstanie owej literatury mieszczańskiej. Księgarz chciał wydawać jak najwięcej, pragnął więc takich książek, które mogłyby być sprzedawane powszechnie. Rola tę spełnić mogły jedynie książki polskie, mieszczaństwo bowiem nie znało łaciny. Zaczęli więc bakałarze krakowscy układać powieści przeróżne, poczęto utrwalać tekst widowisk rybałtowskich, drukowano wiersze ułotne. Początkowo powieści o Marcholcie, o Meluzynie, o Aleksandrze były przeróbkami cudzoziemskich romansów drukowanych. Jednakże humaniści polscy niejednokrotnie rozwijali własne koncepcje, nierzadko śmielsze i dalej idące w dziele postępu niż ich cudzoziemscy koledzy. Przykładem służyć tu może ostatnio odnaleziony i opracowany przez prof. Badeckiego „Senatulus mulierum” z wieku XVI, napisany przez humanistę Andrzeja Glabera z Kobylina i wydany w roku 1542 przez Unglera w Krakowie. Ponieważ dzieje odnalezienia tej jednej

z pierwszych książek polskich są niezmiernie ciekawe, najpierw więc kilka słów o tym. Profesor Badecki poszukiwał tego dzieła od roku 1914. Informacji o jego istnieniu udzielił mu niegdyś Zygmunt Wolski, bibliofil i bibliotekarz. W licznych swoich poszukiwaniach makulaturowych profesor Badecki nigdy na ślad owego „Senatulusa albo sjemu (tj. sejm — przyp. P.H.) niewieściego” nie natrafił. Wreszcie po latach znalazł egzemplarz w papierach po Wolskim w roku 1951. Pisałem o badaniach makulaturowych i winieniem wyjaśnić o jakie badania tu chodzi. Otóż w oprawach starych ksiąg nierzadko trafia się tektura, która nie jest niczym innym, tylko posklejany starannie arkuszami zadrukowanego papieru. W ten sposób dawni księgarze zużywali zadrukowane, lecz z jakichś tam względów nieprzydatne już własne edycje lub ich części. Uczni w końcu XIX wieku rozcinając te oprawy natrafiali na wiele cennych znalezisk, między innymi Brückner w oprawie jakiejś starej księgi w bibliotece w Petersburgu odnalazł iluminowany tekst rękopiśmienny jednego z najstarszych zabytków naszego języka — Kazania Świętokrzyskie.

Profesor na moje pytanie, kiedy niepokoję się o losy cennych starych opraw, odpowiada, że dziś nikt ich już nie rozcina. Są inne sposoby. Na przykład moczy się wewnętrzną stronę oprawy benzyną. Jeśli w środku jest papier zapisany lub zadrukowany, na powierzchni pojawi się ciemny ślad.

Ale wróćmy do owego „Senatulusa”. Profesor Badecki stwierdził, iż utwór ten, poświęcony zagadnieniu praw niewieściech, wywodzi się w zasadzie z dzieła wielkiego humanisty, Erazma z Rotterdamu, a mianowicie z wydanego w roku 1516 „Senatulus sive Gynajkosynendrion”. Jednakże nasz polski „Senatulus” czyli sejm niewieści — zaczyna się tam właśnie, gdzie dzieło Erazma się kończy. Mianowicie polski „Senatulus” zawiera jak gdyby dekalog praw, których domagały się dla siebie ówczesne niewiasty, żony i córki kupców i rzemieślników krakowskich. Tę niewielką książeczkę, świadczącą o żywej myśli renesansowej w Polsce,

oglądałem już w bibliotece, gdzie współpracownik profesora Badeckiego, doktor Anna Kamińska, specjalizująca się w niezmiernie zawilonych dziedzinach historii drukarstwa i księgoznawstwa, zestawia bibliografię księgoznawstwa polskiego i zajmuje się wydobywaniem z archiwów pośmiertnych inwentarzy właścicieli renesansowych drukarni. Te poszukiwania pozwalają niejednokrotnie na wydobywanie z nicości takich pozycji starodrukowych, o których wszelki już ślad zaginął.

INKUNABUŁY I CYMELIA

Co to są stare druki? Są to inkunabuły, czyli książki z wieku XVI, a następnie wszystkie książki, które ukazały się do roku 1800. Inkunabułów polskich mamy stosunkowo niewiele, choć Biblioteka posiada poważny ich zasób w innych językach. Pokażemy tu pierwszy zbiór cymeliów, w XVI bowiem stuleciu istniały już księgozbiory prywatne profesorów czy humanistów, które właściciele zapisywali ówczesnej bibliotece wszechnej krakowskiej. Pierwszym takim zbiorem, obejmującym szesnastowieczne wydania obce i polskie, był zbiór Jana Sommerfelda. Również w skład Biblioteki weszły książki Mikołaja Czepela i poety Pawła z Krosna. W roku 1559 otrzymała Biblioteka legat po Tomaszu Aquilinie, kaznodziei królewskim. Znajdujemy tu pierwszy zbiór dzieł różnowierczych, które kościół zezwalał czytać wiernym dla tym skuteczniejszej walki z herezją reformacji. Piękny zbiór książek greckich ofiarował w owym okresie profesor Akademii, Stanisław Grzebski. Z legatu znakomitego Tomicjusza otrzymała Biblioteka zbiór ksiąg teologicznych i prawniczych, a w spadku po Wolskim — 1000 tomów literatury włoskiej i hiszpańskiej.

W naszym stuleciu piękny dar złożył Stanisław Walczyński, ofiarowując Bibliotece książki polskie z XV, XVI i XVII stulecia, znakomity zaś znawca ksiąg, Kazimierz Piekarski, znacznie pomnożył zasób cymeliów.

Inkunabuły Biblioteki Jagiellońskiej opracował po raz pierwszy w XIX wieku Władysław Wisłocki, który wydał w roku 1900 ich katalog. Potem zajmował się inkunabułami niestrudzony Piekarski. Dziś zbiór starych druków liczy 3048 inkunabułów w różnych językach, w tym notuje katalog Jagielloński 500 pozycji nieznanych całkowicie Hainowi, świetnemu znawcy inkunabułów. To, co w tym dziale przybyło od roku 1900, czyli od daty ukazania się katalogu Wisłockiego, rejestrował Piekarski, i w ten sposób inkunabuły, które wpłynęły między rokiem 1900 a 1936, zostały uwidocznione w dwóch kolejno, w 1930 i 1936, drukowanych dodatkach do katalogu Wisłockiego.

Cymelia katalogował również Piekarski, potem Kazimierz Dobrowolski i poprzedni dyrektor Biblioteki, Aleksander Birkenmajer. Cymeliów polskich z wieku XVI jest 3683. Pojęcie cymeliów rozciąga się w czasie znacznie dalej. Słowo to oznacza wogóle książkę rzadką, rarytas, biały kruć. Mamy więc cymelia z w. XIX i XX. Jest ich oczywiście znacznie mniej, książki bowiem cymeliami nie są, tylko z biegiem lat nimi się stają, czemu sprzyja niszcząca działalność czasu i ludzi.

Oglądałem więc stare druki, piękne prace owych Piotrkowczyków, Unglerów, Hallerów, Cezarów, co nie tylko byli kupcami, ale tak walnie przyczynili się do powstania ksiąg w ojczystym języku.

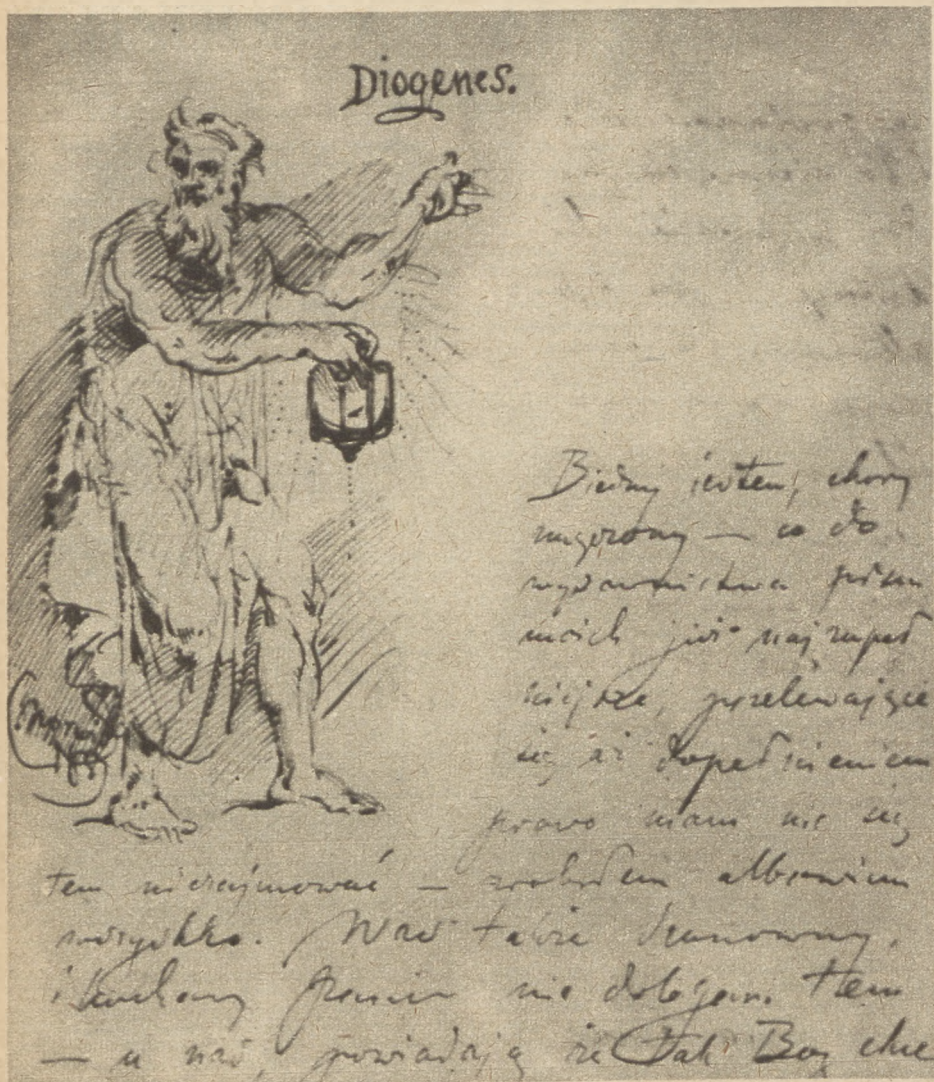
Kolejno przed moimi oczami pojawiają się rzadkie edycje Reya, Kochanowskiego, Kopernika. Oglądam kločki, czyli złożone i oprawne razem dzieła z XVI wieku, gdzie niejednokrotnie kryją się rarytasy, będące źródłem wiedzy o kulturze ludzkiej dla tych, którzy należycie potrafią odczytać stary druk. Bo stara książka nie tylko zawiera nas swoją treścią. Jej papier, oprawa, druk, wygląd, miejsce i rok wydania —

wszystko staje się świadectwem minionej działalności ludzkiej. Odkryty przez prof. Badeckiego „Senatulus” pozwolił między innymi na ustalenie żywego oddziaływania mędrca z Rotterdamu na polskiego humanistę, ale z drugiej strony i na stwierdzenie, że wpływ ten pobudził Andrzeja Glabera do twórczego czerpania z otaczającego go życia polskiego.

Profesor Badecki wyjaśnia mi z kolei, w jakim kierunku będą się rozwijały dalsze czynności jego pracowni. Otóż do działu starych druków zostaną w najbliższym okresie włączone druki polskie z wieku XVII, które dotąd znajdują się jeszcze w ogólnym zasobie Biblioteki. Pewne prace w tej dziedzinie zostały już przeprowadzone. Wynika z nich, że wśród poloników wieku XVII do litery K, bo do tej litery zbiory dotąd opracowano, na ogólną liczbę 2217 druków znajduje się 518 unikatów. Dalsze prace ujawnią z pewnością wiele interesującego materiału.

Wypada mi tu wspomnieć, że książka polska, wskutek szczególnych losów narodu i ziem, na których mieszkamy, zasługuje dziś na jak najstaranniejszą opiekę. Zmienne koleje naszych dzieł sprawiły, że co pewien czas ogromne ilości dóbr kulturalnych ulegały zniszczeniu. W ciągu ostatniej wojny rozmiary tego zniszczenia przybrały rozmiar zastraszający. Z dyment poszły całe biblioteki publiczne i prywatne. Dwukrotnie płonęły zbiory Zamoyckich w Pałacu Błękitnym w Warszawie, raz w 1939, drugi raz w 1944 roku. Zniszczona została biblioteka Krasińskich, a z nią razem zwiezione do jej gmachu zbiory starych druków oraz rękopisów z Biblioteki Narodowej. Długi byłby spis księgozbiorów prywatnych. Nielepszy los spotykał archiwa, muzea, galerie. Z tego względu polonika biblioteczne są szczególnie cenne i zasługują na pieczołowitą opiekę. Dziś, gdy wszystkie wielkie biblioteki stały się własnością narodową, materialna ich sytuacja jest lepsza niż dawniej. Między innymi wyraża się to w możliwości mikrofilmowania cenniejszych zabytków polskiego piśmiennictwa, czy to drukowanych, czy rękopiśmiennych.

Następnego dnia odwiedziłem pracownię doktora Pocięchy, który kieruje najstarszym działem, mianowicie działem rękopisów. Ze wszystkiego, co dotąd pisałem o historii Biblioteki Jagiellońskiej, wynika jasno, że rękopisy właśnie składały się początkowo na księżnicę Akademii Krakowskiej. Podstawą świętości każdej biblioteki jest równomierny i stały napływ ksiąg i rękopisów. Jeśli chodzi o Bibliotekę Jagiellońską, to krótki zarys jej historii pozwala stwierdzić, że z wyjątkiem okresu 1939-1944, losy jej były raczej pomyślne. Wielkie burze dziejowe omijały Kraków, toteż harmonijny dopływ nabytków był stale zabezpieczony. Gdy w wieku XIX Jagiellonka stała się właściwie biblioteką narodową, nie było wybitniejszego pisarza czy działacza, który by nie zapisał jej swoich papierów. W ten sposób, obok 2500 rękopisów średniowiecznych, wśród których liczne są odpisy rękopisów cudzoziemskich z wieku XIII-XV, dokonywane za granicą lub też w skrytoriach krakowskich, mamy tu całe archiwa po wybitnych pisarzach polskich, że wspomnę choćby o niedawno przekazanym Bibliotece kufre pełnym papierów po niesłusznie niedocenionym poecie, Bohdanie Zaleskim, o archiwum orkanowskim itd. Katalog Biblioteki obejmuje 6.000 pozycji, ogólny zasób, który stopniowo w całości będzie objęty katalogiem, wynosi 10.000 pozycji. Poprzednikami doktora Pocięchy na stanowisku kierownika działu rękopisów byli między innymi: historyk Michał Bobrzyński, Józef Korzeniowski, autor „Kollokacji”, bibliograf Władysław Wisłocki, wreszcie zbieracz pieśni ludowych, Żegota Pauli. Nie jest to oczywiście bez znaczenia, osobiste bowiem kontakty tego, kto zarządza owym działem, sprawiły niejednokrotnie, że papiery, rękopisy jego przyjaciół i znajomych wpływały do tej, a nie innej Biblioteki.



List Cypriana Kamila Norwida



Z księgi cechowej krakowskiej, tzw. Kodeksu Bema ok. 1520

Mówimy z doktorem Pocięchą, jednym z najlepszych narratorów, jakiego mi się zdarzyło spotkać wśród naukowców, o zadaniach i pracach jego działu. Główną troską jest zorganizowanie pracy zespołowej, której kierunek z inicjatywy obecnego dyrektora Biblioteki, Juliana Przybosia, będzie następujący — wyszukiwanie i opracowywanie materiałów odnoszących się do historii nauki polskiej, zagadnień społeczno-gospodarczych, historii rozwoju nurtu postępowego w dziejach myśli polskiej od sejmiku czteroletniego do czasów współczesnych. Jak więc widzimy, dział rękopisów pracą swoją będzie znakomicie wspierał nowoczesne badania naszych pracowników naukowych w dziedzinach dotąd zaniedbanych. Szczególnie ważne wydają mi się prace dotyczące zagadnień społeczno-gospodarczych, wyjaśnienie bowiem spraw ciemnych jeszcze w tej materii pomoże nie wątpliwie do prawidłowej oceny wielu faktów historycznych i kulturalnych, które dotąd wiszą wciąż jeszcze jakby w powietrzu.

W dziale pierwszym zbadane zostaną archiwa po uczonych polskich, jak Lelwel czy zmarły w roku 1917 Smoluchowski, pierwszy polski fizyk, który zajmował się atomistyką. Poczynione będą również badania w związku z zagadnieniem powstania państwa polskiego.

Jako materiały, które pomogą zrozumieć układ stosunków społeczno-gospodarczych w Polsce, zostaną wykorzystane znajdujące się w Bibliotece liczne księgi dworskie i gminne, wszystkie dokumenty odzwierciedlające ekonomikę, wszystko, co ukazuje metody i narzędzia pracy. Cennym źródłem wiadomości są także inwentarze majątków ziemskich. Właśnie papiery dworskie, pozornie całkiem obo-

jętne, zawierają ogromną ilość materiału. Ustalenie z jednej strony zarobków, dniówek, ordynarii, cen zaś rynkowych z drugiej, pozwoli na zbadanie poziomu życia chłopów, a co za tym idzie — na ustalenie faktycznych stosunków między dworem i wsią. Liczne dokumenty wyraźnie wskazują na znaczne rozwarstwienie wsi polskiej i na bardzo niejednakowy poziom życia chłopów w tej samej wsi. Ogromnie ważnym źródłem wiedzy są testamenty chłopskie. Sporo wiadomości o losie chłopów pańszczyźnianego przyniosą akta spraw o zbiegostwo.

Cała trudna, bolesna sprawa pańszczyzny staje przede mną, gdy doktor Pocięcha wymienia po kolei wszystkie rodzaje źródeł, które praca bibliografów i specjalistów udostępni historykom. Przywykliśmy uważać, że chłop polski wcale albo też rzadko powstawał przeciw panu. Rabacja chłopstwa 1846 przez dziesiątki lat traktowana była przez wielu historyków jedynie jako bunt posiany cudzymi rękami, nie zaś jako protest przeciw wielowiekowemu uciskowi. Dziać się tak mogło dlatego, że nie mieliśmy dość materiału, obrazującego wyzwoleńczy ruch chłopski. Stare archiwa pełne są jednak danych. W paczce listów jakiegoś plebana podkrakowskiego z końca wieku XVIII natrafiamy na wiadomość, że w okolicy „czerni się ruszyła”. Historia natomiast nie notuje żadnych wiadomości o buntach chłopskich w owym okresie i w owej okolicy. Należyte zbadanie zasobu rękopiśmiennego pozwoli niewątpliwie wydobyć wiele takich danych. Należycie opracowane i gruntownie sprawdzone, rzucą światło na ciemne plamy naszej historii.

Balszy ciąg w numerze następnym



Oto Chinka Tchien-Chua i jej podpis w oryginalnej wersji chińskiej. Pod spodem — ten dłuższy napis — to po chińsku „Karłowe Vary”

FILMOWA PODRÓŻ OD PACYFIKU DO URUGWAJU

IRENA MERZ

NIEBIESKIE skarpetki do brązowych półbutczków dzieciennych rozmiarów, obcisła sukienka koloru wiśni, smukłe drobne dłonie, dwa długie warkocze, przewiązane barwnymi wstążkami. Nie dalibyście jej więcej niż piętnaście lat. Czarnowłosa dziewczynka okazała się jednak przy bliższym poznaniu wprawdzie młodą, bo 24-letnią, ale niemniej jednak już dojrzałą i znakomitą aktorką chińską, Tchien-Chua. Nazywaliśmy ją „dziewczyną o białych włosach”, od tytułu granego i w Polsce filmu, w którym kreowała główną rolę.

Tchien-Chua przyjechała do Karłowych Varów wraz z liczną delegacją chińską na VII Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Oto właśnie czeski fotograf łapie ją „in flagranti” na wymianie przyjacielskich uśmiechów z radziecką aktorką Maryną Kowaliewą, której w umownym języku filmowego festiwalu znów nikt nie nazywał inaczej, jak tylko Nataszą z „Upadku Berlina”. Podobnie zresztą Aleksandra Śląska przemianowana została tu na Konstancję Gładkowską, a Bułgarka Tujkova, choć ma na imię Milka — w filmową bohaterkę Danke.

Wymiana przyjacielskich uśmiechów, zastępujących przyjacielskie słowa — była zjawiskiem dość powszechnym w wielojęzycznym środowisku. I choć wszystkie delegacje zostały przez przyjaciół Czechów sowicie zaopatrzone w tłumaczy — trudności pozostało sporo. Wyobraźcie sobie bowiem konferencję Chińczyków na przykład z Niemcami. Z chińskiego tłumaczy na czeski młody student orientalistyki w Pradze, w czym dzielnie mu pomaga młoda Chinka, studiująca na odmianę w tejże Pradze język czeski. Z czeskiego na niemiecki tłumaczy z kolei inny Czech. W wypadku nieporozumień wkraczają dodatkowo na arenę: tłumaczka chińsko - rosyjska, chiński reżyser znający język rosyjski oraz tłumaczka rosyjsko-czeska. Istna wieża Babel.

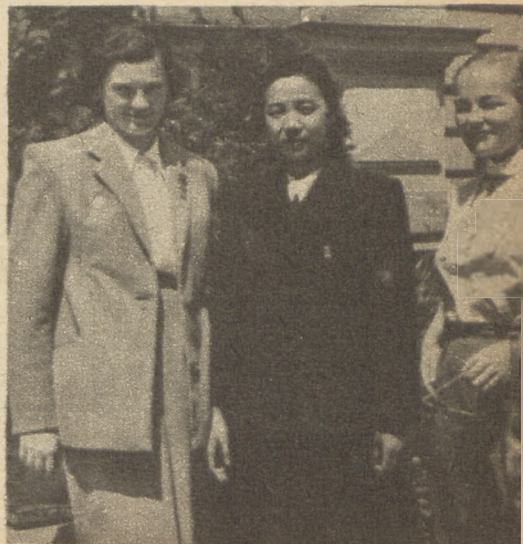
Najwięcej nieporozumień powstawało oczywiście wtedy, gdy w grę wchodziły pojęcia na ogół mało używane w potocznym języku i nie zawsze znane przez tłumaczy. I tak sporo kłopotów sprawiło przetłumaczenie delegatowi urugwajskiemu na hiszpański tak niewinnego wydawałoby się słowa jak „królik”. Ale i tu szybko znalazła się rada. Po prostu wszyscy zaczęli udawać króliki, skacząc wokół stołu z dłońmi u czoła, imitującymi ruchliwie królicze uszy.

Czas przenieść się jednak z kuluarów festiwalowych do jego miejsca centralnego — do kina. Przez 23 dni wyświetlano tu 134 filmy, a więc skromnie licząc jakichś 200 kilometrów taśmy filmowej. Odległość jak z Warszawy aż za Białystok. Początkowo frapująca liczba 200 kilometrów bieżących zaczyna

jednak wyglądać znacznie skromniej, gdy dodamy, że na tej stosunkowo małej w porównaniu z wymiarami kuli ziemskiej długości taśmy zobaczyliśmy tysiące kilometrów kwadratowych różnych krajów. Filmy zawiozły nas w podróż do wybrzeży Pacyfiku poprzez potężne ludowe Chiny, koreański front, robotnicze dzielnice indyjskich miast, tętniące partyzancką walką lasy Wietnamu, wybrzeża Indonezji, poprzez pustynie i kwitnące łąki Mongolii, do malowniczej radzieckiej Gruzji, na brzegi ukraińskich rzek, na bułgarskie budo- wy, rumuńskie wsie, malownicze uliczki starego Budapesztu, nowe fabryki Słowacji, do teatrów Pragi i nad polskie morze, do niemieckich portów i dalej przez Francję do angielskich szpitali, pod słońce Włoch aż na dalekie pola Urugwaju.

W filmach tych zobaczyliśmy jednak nie tylko krajobrazy i budowle, zobaczyliśmy przede wszystkim ludzi, walczących dziś na całym świecie pod sztandarami pokoju o lepszy świat. I było w tym szerokim przeglądzie wielkiego dążenia ku dobru mas ludowych wszystkich narodów coś bardzo podniosłego i mobilizującego, jakaś wielka radość, że tak w filmie jak i w życiu idziemy szybko naprzód pod egidą Niezapomnianego Roku 1919. I dlatego otwarcie festiwalu filmem radzieckim o takim właśnie tytule, zdobycie przez ten film w festiwalowym współzawodnictwie Wielkiej Nagrody — nabrało symbolicznego niemal znaczenia i zawisło jak godło nad programem dalszej pracy postępowych filmowców, walczących dziś pod festiwalowym hasłem „o pokój”, o lepszego człowieka, o szczęśliwszą ludzkość.

Spotkały się trzy aktorki: Maryna Kowaliewa - Natasza (ZSRR), „dziewczyna o białych włosach” Tchien-Chua (Chiny) i Śląska-Gładkowska (Polska).





Małorolny J. Puzio jeden z pierwszych podpisał statut. Za nim tłoczyli się następni.



A. Śmigiel, pierwszy przewodniczący RZS w Rudziczce, kocha wnuczkę i pracę. Znajomi twierdzą, że zjawi się jeszcze trzecia miłość — do spółdzielni

WITAMY NOWĄ SPÓŁDZIELNIĘ PRODUKCYJNĄ

KOMITET założycielski powstał jeszcze przed rokiem, ale sprawa nie posuwała się naprzód. Słowa Antoniego Gulbińskiego za założeniem spółdzielni, niewielkie miały echo i Rudziczka nadal dzieliła się na trzy obozy. Pierwszy stanowili ci, którzy spółdzielnię zawiązać chcieli natychmiast; w drugim byli zdecydowani przeciwnicy, w spółdzielni widzieli bowiem koniec takich interesów, jak wynajem koni i sprzętu za odrobek (znamy ich, to kułacy); trzeci obóz był najliczniejszy, składał się z ludzi bez własnego zdania, którzy mówili, że pójdą za większością; wśród nich, jak w sztuce Warmińskiego „Zwycięstwo”, znalazł się również sołtys, Stanisław Giemza.

Byłoby tak może do dzisiaj, gdyby nie dwa wydarzenia: przemówienie Prezydenta Bieruta o sprawach wsi na VII Plenum PZPR i powrót z wycieczki do ZSRR Jana Kapsa, członka spółdzielni w Laskowicach. Kaps był w okolicy dobrze znany z rzetelności, zawierzano więc jego informacjom. Zresztą i młoda spółdzielnia laskowicka mówiła sama za siebie. Choć liczyła tylko 25 członków, rozmach miała w pracy zadziwiający: wielka obora była świeżo wyremontowana, w stajni remont kończono, a mechaniczna piła rżnęła deski na nową spółdzielczą stodołę. I przepracowany nikt w Laskowicach nie był, ulgę w pracy przyniosły maszyny, starczyło

więcej czasu i na czytanie pism, książek, na pójście do kina.

W ciągu dwu następnych tygodni złożono w Rudziczce 130 podpisów na deklaracjach członkowskich i zwołano zebranie organizacyjne, aby ostatecznie ustalić, jaki typ spółdzielni wybrać. Kwadratowa sala gminnej spółdzielni Samopomocy Chłopskiej ledwie pomieściła blisko 300 osób — członków przyszłej spółdzielni wraz z rodzinami. W dyskusji powychodziły na światło dzienne stare krzywdy, złe pomiary gruntu, ale gdy chłopci upewnili się, że działki przyzagrodowe wyznaczone będą sprawiedliwie i od pracy nikt nie będzie się uchylał, zdecydowali, że trzeci typ, że Rolniczy Zespół Spółdzielczy będzie jednak najodpowiedniejszy.

Nad wyborem przewodniczącego debatowano najkrócej. Średniorolny chłop, Andrzej Śmigiel, zawołany gospodarz, uczynny sąsiad, uświadomiony obywatel, wydawał się najgodniejszy. Wybór reszty członków zarządu również nie nastroczał trudności.

Rano w drugim dniu po zebraniu sznur wozów ze zbożem czekał na odbiór przez magazyny Gminnej Spółdzielni. Chłopi z Rudziczki koło Prudnika dowiedli, że wchodząc na nową drogę życia, potrafią bardziej niż poprzednio kierować się potrzebami społecznymi.

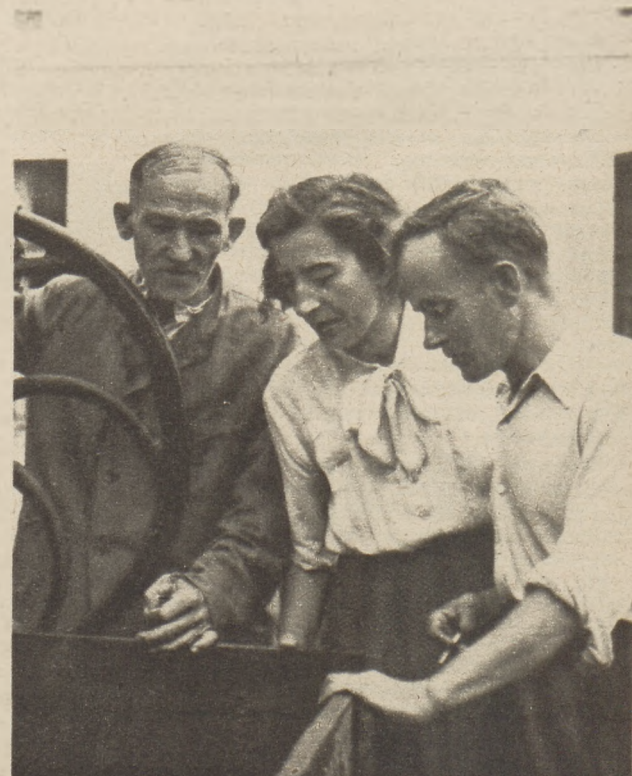
Zdjęcia: A. Nowosielski (CAF)



Po powrocie z ZSRR, Kaps (drugi od lewej), stał się autorytetem w sprawach spółdzielni. Jego opowiadania o tym, co widział w kotchozach radzieckich, przyspieszyły zorganizowanie spółdzielni w Rudziczce.



Antoni Gulbiński pierwszy w gromadzie podpisał deklarację przystąpienia do spółdzielni i wie, że bez kłopotów będzie mógł kształcić czworo dzieci. Rodzice łatwo na ich wykształcenie zarobią w spółdzielni.



Ta studnia jest niewiele warta, Antoni Gulbiński nie mógł dać sobie z nią rady, ale teraz pomoże mu w kłopotach Sabina Korkowska i Józef Puzio. Czyż nie są teraz wszyscy jak jedna, kochająca się rodzina?

Opis podróży do Australii i pobytu tamże od 1852 do 1856 roku.

przez Seweryna Korzelińskiego.

(10)

XXXII. OBERZA POD KAŻDYM DRZEWEM

Kredens składa się z kwarty blaszanej (pankin), która służy do wszystkich płynów, z łyżki, noża i widelca. Lecz nie u każdego tak pięknie aprowidowany kredens; posiadają go tylko porządniejsi i ci, którzy palcami z patelni nie chcą wybierać mięsa. Mniej wybredni kładą kawał mięsa na chleb i krając po kawałku pożywają razem, nie uważając, że im tustość ścieka po rękach, a może i dla oszczędności w garści trzymają mięso, by po skończonym jedzeniu obetrzeć ręce o buty, tym sposobem i skórę utrzymywać miękko, nie oglądając się za serwetą. Anglicy rosołu nie jadają, a także i inni nie mają czasu gotować go, chyba w niedzielę, łyżki więc nie potrzebują wcale, bez widelca obejść się też można, zastępując go palcami albo wystruganymi z drzewa widelkami. Kwarta więc blaszana, patelnia i nóż jeden zastępują półmiski, talerze, filiżanki, szklanki, kieliszki, nożycki srebrne do owoców i wszelką zastawę stołu; bo człowiek najęść się może i napić za pomocą trzech tych instrumentów, na przechowanie których etażerek nie trzeba ani kredensów. Kuchnia i kredens może być z górnikiem, czy to idzie on do roboty, czy puszcza się w daleką drogę. Nóż w pochwie za pasem albo w kieszeni, kwarta blaszana zawieszona uszkiem u pasa, którym ciało ściągnięte powyżej bioder, kociołek blaszany, na oskard zawleczony, spoczywa na plecach razem z patelnią, a jeżeli się podróżuje, przybiera jeszcze blanket (koidra wełniana), zwinięta mocno jak płaszcz żołnierski, którą przewiesiwszy przez ramię, pod drugą ręką wiąże się końcami do kupy. Wszystko jest więc razem przy podróżującym. Idąc lasami, nie potrzebuje szukać oberży, ma ją pod każdym drzewem. Staje, gdzie mu się podoba, czyli raczej, gdzie trochę jakiegokolwiek wody znajdzie, rozpala ogień, przystawia kociołek, na patelnię kładzie kawał mięsa i smaży. Pożywi się sam, resztkę odda nieodstępniemu towarzysowi swemu, psu, naznosi drzewa, by przebudziwszy się w nocy, podsycić ogień, a załatwiwszy się z tym wszystkim, ściele łóżko, to jest odrzuca z miejsca, na którym zamysła spoczywać, kamienie, kawałki drzewa i korzenie, nazgarniałyby liście, by wygodniej mógł leżeć, co, kiedy w Australii liście z drzew nie opadają, obchodzić się więc musi bez materaca. Pod głowę przyniesie kłoc jakiegoś drzewa, pod którym spoczywa. Owija się blanketem i rozciąga się na tej naturalnej sofie bez sprężyn. Pies tylko nie może znaleźć dogodnego dla siebie miejsca, rad by tuż koło pana spoczywać, kręci się w kółko, jak gdyby się chciał zwinąć w kłębek, przechodzi z jednej na drugą stronę: wszędzie twarde kamienie, grzebie więc, odrzuca je, ale jeden jakoś wrósł w ziemię, nie może go ruszyć, a to właśnie przy nogach pana, gdzie wybrał sobie legowisko. Poczekaj, nieboże, trzeba ci dopomóc; wstaje więc górnik, odrzuca kamień i koniec blanketu odstepuje towarzysowi. No, teraz już obydwaj przyzwyczajeni ułokowani jesteśmy. „Kładź się, psie, ja jeszcze przyrzucę drzewa na ogień, popalę fajkę i podumam”. Miejsce i pora stosowne, ogień błyszczący przede mną, cichota nocy otacza mnie, a lasy odwieczne odmawiają pacierze wieczorne przytłumionym szumem. Myśli moje bują w dalekie strony rodzinne, postacie drogich osób przesuwały się, wyobrażenia przedstawia mi je w znajomym kółku, rozmawiam z nimi; lecz coraz zawilsze obrazy, coraz bardziej niewyraźne postacie snują się, po-

wieki spuszczają się powoli, fajka z ust wypada, i nic już nie wiem o świecie.

XXXIII. POCZCIWI NIEMCY

Kiedy zatrudnieni jesteśmy porządkowaniem naszych gratów, przychodzi z łopatą na plecach i kubelkiem w ręku młody i przystojny górnik, a spostrzegłszy nasze niepewne poruszenia i twarze nie bardzo jeszcze słońcem australijskim przypieczone, skalkulował, że musimy być *new homs* (nowicjusze),



Rys. A. Uniechowski

...Obrócił kubek dnem do góry i usiadł...

zatrzymał się i zapytał, czy nie jesteśmy Niemcami.

— Nie — odpowiedział któryś — ale mówimy tym językiem.

— A, to dobrze, pogadamy — obrócił kubek dnem do góry, usiadł i otrzymał odpowiedzi na zapytania: „kto, co, jak?” powiedział, że jest Hanowerczykiem, nazwiskiem Degenhardt, jednym z czterech braci, pracujących razem w tych kopalniach. Ofiarował nam pomoc swoją w nauczaniu nas rudymenów rzemiosła górniczego. Uradowani zaraz poczęstowaliśmy brata górnika kawą i prosili, by nas w wieczór chciał odwiedzić. „Dobrze, ja przyjdę do was, ale lepiej byście zrobili, gdybyście przenieśli wasz namiot bliżej nas, gdziebyście mogli widzieć narzędzia nasze, pogadać w wieczór i spokojnie spać. Tu namiot za blisko drogi. Gdzie tyłu jeździ i chodzi, ani spokoju mieć nie będziecie, ani bezpieczeństwa; ktokolwiek przechodząc schwył ci wam może z namiotu co potrzebnego. My mieszkamy, ot tam, pod tą górą i mamy psy, a drzewa nie potrzeba wozić, bo go pełno wokoło. Przy tym i ta dogodność jeszcze, że prócz nas czterech, mieszczących się w jednym namiocie, jeszcze jeden tylko namiot stoi, należący do ziomka naszego, Gayera; wasz może być trzeci, a zatem nikogo nie będziemy mieli w pobliżności, kto by nas niepokoił”. Ślicznie mówi poczcwiwy Niemiec, a pójďteż zobaczyć, gdzie to jest? Przecież to już jakaś znajomość; spytać się, rozmówić będziemy mogli i weselej jakoś między ludźmi tak chętnymi udzielić nam rady w nowym i zupełnie obcym dla nas zawodzie życia. Poszło dwóch na reconnaissance i niedługo bawiąc powrócili zadowoleni.

Już z daleka wołali:

— Doskonale kapitanie! I miejsce na ustroniu między drzewami, i Niemcy poczcwiwi ludzie, jakich mało.

W wieczór jużśmy urządzili się, a sąsiedzi nasi powrócili od roboty; pogadanka tedy przy ogniu trwała dosyć długo.

Istotnie, poczcwiwi byli ci nasi sąsiedzi; objaśniali nas we wszystkim, co do poz-

nienia i ułatwienia pracy w kopalniach należało. Gayer, zręczny cieśla, przerosł kołyskę do mycia złota nie stosownie urządzonej w Londynie, a jeden z Degenhardtów nauczył nas chleb piec.

Ułożyliśmy między sobą, że każdy z nas tygodniowo funkcję kucharza obejmie. Pierwszy tydzień niestety znowu przyszedł na mnie; niestety mówię, bo przekonałem się, że zdanie moje w Melbourne objawione o praniu bielizny i o gotowaniu nie było słuszne, uważając ostatnie jako łatwiejsze zatrudnienie. Niech tylko kto spróbuje drzewo rąbać i nosić, nie tylko na dzień, ale i na całą noc, po wodę i po mięso chodzić, zamiatać, naczynia myć i szorować, jeść gotować na sześć osób dwa razy na dzień, niech chleb piecze co dwa dni, a przy tym jeszcze niech idzie pomagać pompę ustawiać lub jaką inną robotę wykonywać, to zobacz, czy nie wykrzyknie razem ze mną: Zle! To nie do wytrzymania!

XXXIV. ROBOTA W WODZIE

W tym czasie niejedną dolegliwość miałem; nieprzyzwyczajenie do ciężkiej ręcznej pracy trudnym robiło niewymownie kopanie, całodziennie stanie w wodzie przejmowało zimnem, ciągnięcie cebrów z mokrą ziemią i w krzyżach czuć się dawało, wyciągało żyły i mięśnie w rękach, tak że je w nocy zgiąć trudno było; przy tym jedną tylko parę ciężem posiadałem, a w kieszeni bardzo mało, żeby kupić inne, jeżeli się te popsują; więc dla oszczędzania zrzucałem je przy robocie, bo by w wodzie nie wystarczyły na długo, a kto wie, czy na inne zarobić się zdola przy takiej nieumiejętności górnictwa. Często bardzo zmieniał się powietrze, raz gorąco, drugi raz zimno w tym samym dniu dokuczało. Do tego wszystkiego nie umiałem boso chodzić, gdzieś uderzyłem lub stąpiłem na ostry kamień i w nogę się zranił aż w oczach zaświeciło. Stapałem więc pomiędzy kamieniami, wybierając równe miejsca, pompatycznie jak koń ślepy, kiedy nie wiedząc,



Rys. A. Uniechowski

„Całodzienne stanie w wodzie przejmowało zimnem...”

gdzie spuści nogę, podnosi ją wyżej, jakby potrzebował.

Najgorzej przyszło mi przepędzić dzień w wigilię Bożego Narodzenia. Od dzieciństwa przyzwyczaiłem się w dniu tym post zachować ścisły, nie chciałem też i w Australii łamać go. Lecz widzę inna to rzecz w domu, po spożytej dobrej wiecerzy w dniu poprzedzającym pójść nazajutrz dla zabawki na polowanie i nic nie jeść aż do pierwszej gwiazdy, a zupełnie inna, siły wycieńczone uciążliwą pracą bardziej osłabiać postem skrupulatnym. Zdawało mi się, że kopiąc cały dzień zapomnę o głodzie, bo ktoś powiedział, że przy zatrudnieniu nie myśli się o jedzeniu. Mądry wynalazco sensu tego moralnego! Pewnie nie byłeś w kopalniach — tam się o jedzeniu tak mocno myśli, że się głowa zakręci i z omdlenia upaść można bezwładnie, jak tego doświadczyłem sam w Forest Creek. Poleżawszy z pół godziny na ziemi, przyszedłem, jak to mówią, do zmysłów, choć nie mogę powiedzieć, żebym je był stracił, nie mogłem tylko chwilowo utrzymać się na nogach, bo osłabienie i głód podciął mi je jak kosą. Dalej robić wszakże już nie mogłem, bo też i wieczór zbliżał się. Wieczór tyle wspomnień drogich zamykający, bo o tej porze w kraju naszym zbierają się rodziny, by razem przełamać się opłatkiem, zasiąść do wiecerzy, a potem w serdecznej rozmowie przy kominku. Tu nie masz ani opłatka, ani rodziny, a gorąco tak mocne, muchy tak naprzykrzone, że się niepodobnym zdaje, by to był czas Bożego Narodzenia, zwłaszcza nam, dzieciom Północy, przyzwyczajonym widzieć w dniu tym śniegi i zawieje. Lecz tak jest, jutro Boże Narodzenie. Po to płynęliśmy trzy miesiące, by z drugiej strony kuli naszej pozbawionym być w dniu tym wszystkiego, co nam miłe, gdzie na wigilię nie ma opłatków, a zamiast grzania się przy kominku, pot z czoła ocierać trzeba na dworze.

Wieczera też nasza nie była podobną do spożywanej niegdyś w domu. Składały ją rosół, mięso, a z nadzwyczajnym dodatkiem wystąpił B., kucharz nasz towarzyszący, z plackami smażonymi na łożu. Te potrawy nie zdołały zastąpić szczupaków, karpi itd., ale podsyciły i przywróciły upadające siły, co główną było rzeczą, bo przecież można było bez zawrotu głowy siedzieć, przechadzać się przy księżycu, ślicznie w owej chwili oświecającym góry, przed naszymi namiotami wznoszące się, i podumać o swoich i o kraju. Niedługo samotnie mogłem się oddawać myślom, znużenie było mocne, potrzebą odpoczynku konieczna. Wszedłem do namiotu i położyłem się. Koło mnie leżał Stach, znałem go z dzieciństwa, a stosunki przyjazne z rodziną jego mnie łączyły; widok cieniący był przykrym dla mnie niewymownie, bo ani odmienić jego położenia, ani ulgi mu żadnej przynieść nie mogłem, a obawiałem się, by słabość, którą złożył był w Szumli i w Kutahii, nie powróciła w miejscu, gdzie dla słabych ratunku nie ma wcale, gdzie tylko Opatrzność kieruje, bo doktorowie kopią i więcej im chodzi o zdobywanie złota z ziemi, jak o pacjentów. Do rozmowy obydwaj nie byliśmy usposobieni, przecież słowa: — „Co tam nasi w domu teraz robią? Może rozmawiają o nas i żalują, że nie siedzimy w ich kółku...” — spowodowały westchnienia, bo jakże inny, jak lży i westchnienia, mógł być objaw uczuć naszych w tej chwili, kiedy obecne położenie bolesne, a przyszłość nie jaśniała różową barwą.

Balszy ciąg nastąpi

RTEĆ WYŻEJ



się wielki browar, tymczasem więc z innych miast jadą beczki z piwem, które szybko dostaje się do szklanych kufli, gdzie już sam widok pianistego napoju cieszy oczy znużonego upałem mieszkańca stolicy. Powiedzenie: „A to sobie nawarzył piwa!” traci stanowczo



łączy się teraz jeszcze prymitywnymi metodami — ale kiedy podrosną, to ho, ho! Dziewczynki bardziej podchowane mają już strój nieco więcej kompletny, ale bez zbytnej przesady... Nie biorą ze sobą ani łopatk, ani blaszanego kubekta, jednak woda również po-



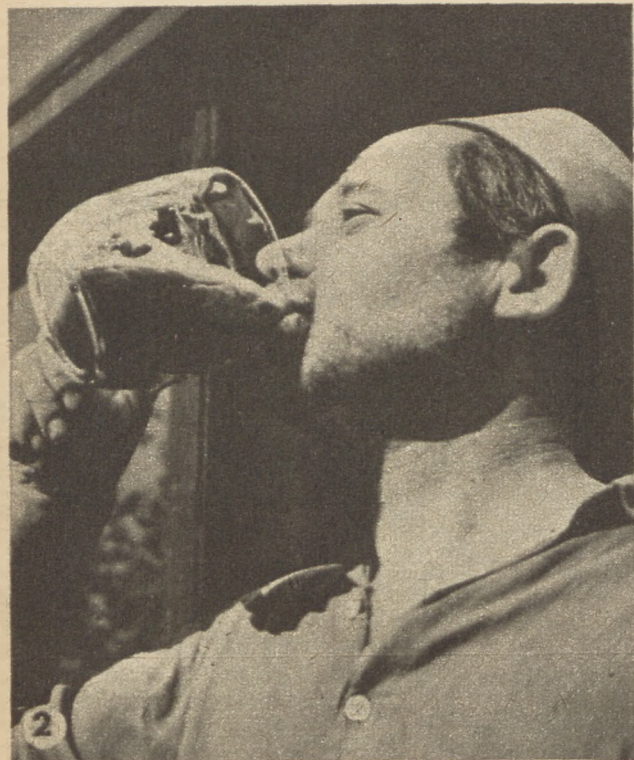
Jaki temat? Ludzie i upały? — Doskonale! Nasz fotoreporter Jan Kosidowski zabrał aparat, spojrzał na wędrującego w górę słupka rtęci w termometrze i ruszył w drogę. Powróciwszy, ocierał pot z czoła — ale zdjęcia przyniósł. Jego opowieść fotograficzna zaczyna się



podczas upałów swe negatywne znaczenie. Czymże jest jednak najzimniejsze piwo wobec lodów — tego zimna skoncentrowanego na wafle lub patyku?! Jakże to proste: daje się złotówkę a otrzymuje się wzamian coś, co — w tym upale! — ma temperaturę poniżej zera.



ciąga je jak za (niezbyt tak) dawnych lat. Bowiem recepta przeciw upałowi obejmuje leki zażywane wewnętrznie, jak piwo, względnie lody, oraz stosowane zewnętrznie, jak H_2O . Staje się pod prysznicem i — jak mówi poeta — „z dziecinną radością pociąga za sznu-



od pewnego robotnika na MDM, który sporządził sobie przedziwne nakrycie głowy — i bardzo je sobie chwali. Niedaleko stamtąd, inny robotnik w mgnieniu oka wysuszył wielki kufel piwa. To „wino północy” bardzo dobrze gasi pragnienie; w Warszawie dopiero buduje



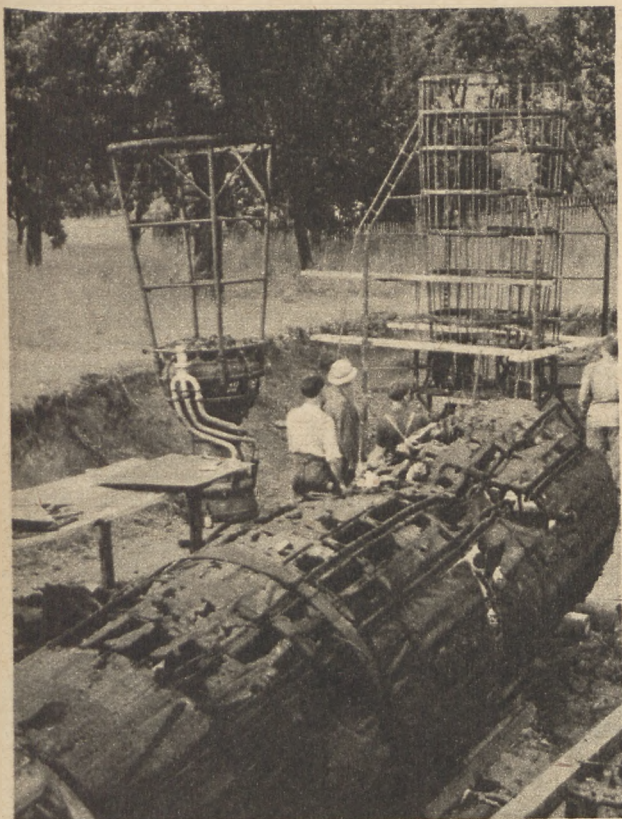
Najlepiej jest jednak przebywać nad wodą — zwłaszcza kiedy ma się tyle wolnego czasu, co ta mała dziewczynka. Wielkim budowłom wieku dziecięcego, tworzonym codziennie w Parku Ujazdowskim, sprzyja strój zatrudnionych przy tym dzieci; wody z dwóch stawów



rek”. Zażywać można zarówno na plaży jak i w domu. Natomiast Wisła jest niezbędnie potrzebna do stosowania tzw. terapii żaglowej. Bierze się więc po pracy żaglówkę, miłych towarzyszy i marynarskie spodnie. Czy i teraz jest Wam jeszcze gorąco?

L. W.

„V-2” — PO CO?

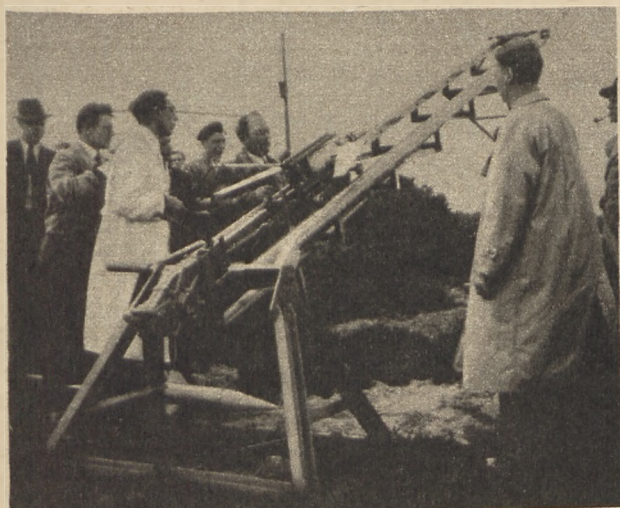


Zdjęcie powyższe zaopatrzyła brytyjska agencja fotograficzna podpisem:

„W Stutgardzie, Niemcy południowe, robotnicy wykończają model pocisku

rakietowego „V-2”. Nikt nie wie po co”.

My wiemy, ale nie powiemy. Radzimy natomiast zapytać niektórych mieszkańców Londynu obdarzonych lepszą pamięcią.



Albert Fuellenberg mógłby również udzielić pewnych informacji na ten temat. Jako jeden z konstruktorów pocisku „V-1” został wybrany prezesem

„Niemieckiego Towarzystwa Badań nad pociskami rakietowymi”, ostatnio zaś przystąpił do nowych eksperymentów na terenie Niemiec zachodnich.

„IKE” CZY ADLAI
czyli JEDEN DIABEŁ



TRUMAN i STEVENSON
„To swój człowiek”

„United States News and World Report” — pismo czytane chętnie w kołach Wall Street, protekcjonalnie poklepuje po

ramieniu kandydatów obu partii burżuazyjnych na prezydenta Stanów Zjednoczonych i tłumaczy swym stałym czytelnikom,

że nie ma to większego znaczenia, czy wygra republikanin „Ike” (Eisenhower), czy demokrat Adlai (Stevenson):

„Czy zwycięży Stevenson czy Eisenhower:

W Kongresie rządzić się będzie większość konserwatywna. Nowe radykalne idee, jeśli w ogóle dojdą do głosu, nie będą miały żadnych szans.

Wydatki budżetowe będą rosły nadal...

Siłły zbrojne będą nadal utrzymywane na wysokim poziomie... Pobór do wojska będzie trwał...

Nie nastąpi żadna poważniejsza zmiana w obecnej polityce na żadnym polu.

Ustawa Tafta-Hartlego będzie zrewidowana. Zmiany będą miały na celu ustalenie bardziej skutecznej procedury dla przeciwdziałania akcjom strajkowym.

Czy to będzie Adlai, czy „Ike” — perspektywy są w gruncie rzeczy te same: wielkie wydatki, wysokie podatki, pomoc militarna dla zagranicy, ograniczenie działalności związków zawodowych...

Eisenhower otoczy się raczej ludźmi interesu i wojskowymi, Stevenson wybierze sobie współpracowników z kół profesorskich i spośród młodych ludzi ze sfer bardzo bogatych.

PRZECIWKO LUDOBÓJCOM



Mieszkańcy gęsto zaludnionej wyspy Long Island, w stanie New York, dowiedzieli się z łamów lokalnego pisma „Newsday”, że władze wojskowe postanowiły założyć w Fort Terry na Plum Island, tuż u wybrzeży Long Island, nowe centrum badawcze broni chemicznej i bakteriologicznej. Wiadomość o tych planach wywołała olbrzymie oburzenie w całej okolicy. Dziennik „Newsday” — pismo informacyjne, nie związane z żadną grupą polityczną — rozpoczął wielką kampanię przeciwko tym ludobójczym projektom. Pismo ogłosiło wyjątki z raportu, który pułk. W. A. Carter złożył w Waszyngtonie na posiedzeniu komisji wojskowej Kongresu. Pułk. Carter oświadczył wtedy:

„Projektowane urządzenia są niezbędne i to natychmiast, abyśmy mogli zrealizować na czas zadania, które przed Korpusem Chemicznym postawił połączony Sztab Generalny armii, marynarki i lotnictwa, a które mają bezpośrednie znaczenie dla naszych planów strategicznych.

Departament Obrony oraz liczne komitety ekspertów niejednokrotnie

podkreślali, że szybki rozwój badań w dziedzinie broni biologicznej (bakteriologicznej), chemicznej i radiologicznej stanowi zadanie niezwykle doniosłe i pilne”.

Na zbudowanie tego nowego centrum ludobójczej broni wyasygnowano pięć milionów dolarów.

Ale mieszkańcy Long Island postanowili pokrzyżować zamiary władz wojskowych. Jak stwierdził cytowany dziennik, „doszło do otwartej wojny pomiędzy ludnością Long Island a władzami federalnymi”. Reprodukowany tu numer „Newsday” opatruje historię tej walki następującym nagłówkiem.

LONG ISLAND PRZEKREŚLA PLAN UMIESZCZENIA TU LABORATORIUM BAKTERIOLOGICZNEGO.

Nagłówek drugi głosi:

LONG ISLAND PRZEKREŚLA PLAN STWORZENIA CENTRUM WOJNY BAKTERIOLOGICZNEJ.

Zorganizowana akcja mieszkańców wyspy, którzy niezależnie od swych poglądów politycznych podjęli tę walkę, uwieńczona została sukcesem. Władze federalne zawiesiły tymczasem wykonanie projektu.

A JEDNAK...

Przypominacie sobie zapewne historię dziennika generała Grow (wyjątki z



tego dziennika były drukowane w „Świecie”). Ten były attache wojskowy USA w Moskwie odstąpił szczegóły swej szpiegowskiej roboty i ujawnił agresywne cele polityki amerykańskiej. Oficjalne czynniki amerykańskie usiłowały całą sprawę zbagatelizować, głosząc, że treść notatek generała Grow jest odbiciem jego

czysto prywatnych poglądów i nie ma nic wspólnego z rzeczywistą polityką Stanów Zjednoczonych.

Obecnie, na marginesie procesu generała Grow przed amerykańskim trybunałem wojskowym, który sądził generała za „karygodne niedbalstwo”, tygodnik „Newsweek” tłumaczy, dlaczego rozprawa otoczona była jak najciszej tajemnicą:

„Najściślej tajemnica, zarządzona przez władze wojskowe w związku z procesem generała Grow, była absolutną koniecznością. Okazuje się, że Grow ujawnił w swym pamiętniku informacje niezwykle wagi... Władze amerykańskie zastosowały więc wszelkie środki, by zapobiec ujawnieniu, które części pamiętnika zawierają istotne tajemnice państwowe...”

Słowem, notatnik Growa nie był znowu takim sobie „prywatnym” dzienniczkiem swawolnego generała, lecz dokumentem zawierającym informacje polityczne największej wagi...

NOWA TECHNIKA, STARE TRADYCJE



Policja japońska była bezsilna...

Skrzyżowanie japońskiego samuraja z amerykańskim policjantem dało bardzo dodatnie efekty — twierdzi szef policji w Osaka. Po krwawych zaciśnięciach ulicznych, podczas których policja tokijska okazała się bezsilna wobec tysięcznych rzesz demonstrantów, manifestujących na rzecz pokoju, japońskie władze bezpieczeństwa wespół z amerykańskimi eks-

pertami, opracowały nowy rysunek policyjny.

Tytułem próby wyposażono policję w Osaka w stalowe hełmy i także tarcze, potężne pałki gumowe i automatyczne pistolety. Szef tamtejszej policji z dumą wskazuje, że cały ten rysunek zaprojektowany został z uwzględnieniem „tradycji”, gdyż sylwetka „rycerzy gumowej pały” przypomina, jego zdaniem, samuraja.



...dostała nowy rysunek.

NA GIEŁDZIE ŻYWEGO TOWARU

Tygodnik „Newsweek” z dn. 4 sierpnia r. b. skarży się na nieuczciwą konkurencję, jaką uprawiają dwie kategorie amerykańskich handlarzy towarami ludzkimi:

„Amerykańskie koncerty telewizyjne stanowią

groźną konkurencję dla hollywoodzkich koncertów filmowych na polu wylawiania we włoszech techników i specjalistów. Od czasu wojny bowiem koncerty filmowe kupowały filmowców włoskich bardzo tanio”.



TANIO i ŁADNIE



Komplet na lewo u góry składa się z czerwonej, jedwabnej bluzki z kimonowym rękawkiem i zapięciem pod szyją oraz kremowej, wełnianej spódnicy (bardzo kloszowej), ozdobionej haftem czerwono - czarnym. Całość uzupełniają pantofelki czerwone lub czarne.

Model na prawo to zwykła sukienka kretonowa — tania, a jakże urocza. Dół również bardzo kloszowy, lamowany białą tasiemką.

Na zdjęciu bocznym widzimy komplet, na który składają się: szara (dość wąska) spódnica, prosta bluzka z białej popeliny i kamizelka z czerwonej wełny, ozdobionej białym stebnowaniem koło ramion i na kieszeniach.

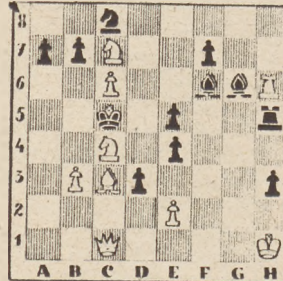
Kamizelkę przepasujemy szarym sznurem — albo po prostu paskiem (czerwonym, czarnym białym, szarym).

SZACHY

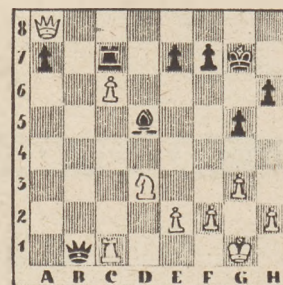
ZADANIE A 55

L. Łoszyński

Mat w 3 posunięciach



ZADANIE B 56



Pozycja ta pochodzi z partii Mikenas — Aronin, granej w

XVIII czempionacie ZSRR. Posunięcie przypada na czarne, które piękną kombinacją zakończyły partię. Jaka to kombinacja?

PARTIA Nr 33

grana w 3 rundzie eliminacji Olimpiady Szachowej w Helsinkach, w ramach spotkania ZSRR — Polska.

Białe: Pytlakowski

Czarne: Smysłow.

1. d2—d4 d7—d5 2. c2—c4 d5:c4.

Taka kontynuacja czarnych prowadzi zazwyczaj do zaciętej walki.

3. Sg1—f3 Sg8—f6 4. Hd1—a4+.

Niewątpliwie najsilniejsze jest 4. e3, które też najczęściej się spotyka. W tym wypadku po 4...e6 5. G:c4 c5 6. 0—0 a6 7. He2 b5 wytwarza się pozycja z obustronnymi szansami.

4... c7—c6 5. Ha4:c4 Gc1—g4 6. Sf3—e5 Gg4—e6 7. He4—d3 Sb8—d7 8. Se5:d7 Ge6:d7 9. Sb1—c3 Hd8—b6 10. Gc1—d2 e7—e5! 11. d4:e5 Sf6—g4 12. Hd3—g3 0—0 13. h2—h3 Gd7—e6!! 14. Wa1—d1.

Gdyby białe od razu przyjęły ofiarę skoczka, nastąpiłoby 14...W:d2!

14... Hb6:b2 15. h3:g4 Gf8—b4! 16. Wh1—h3 Wd8—d4!

Grozi zdwojenie czarnych wież na linii „d”.

17. Hg3—e3 Wh8—d8 18. f2—f4 Ge6:g4 19. Wh3—g3 Gg4—f5 20. Wg3—f3 Gb4—a5.

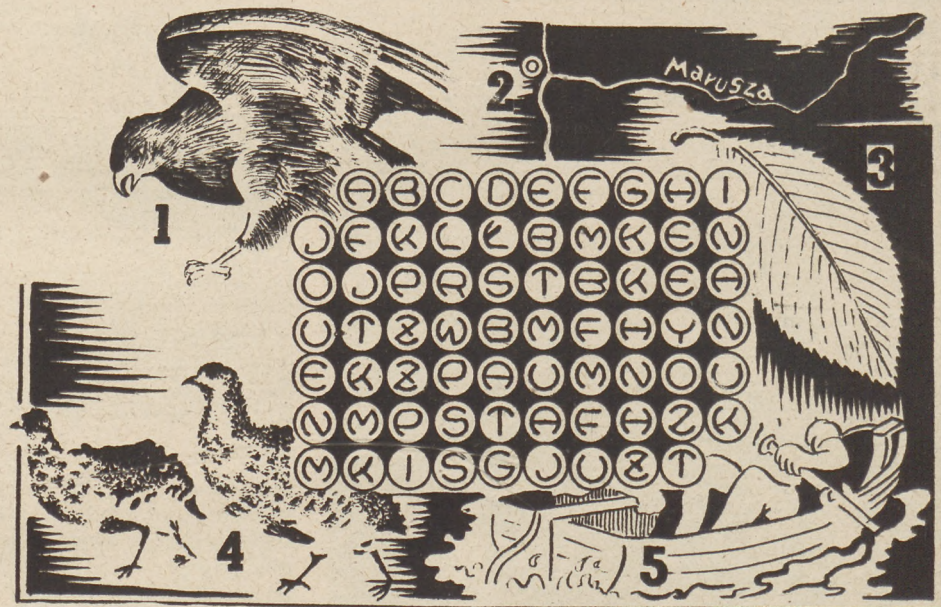
Posunięcie to przygotowuje przejście gońca na b6. Sytuacja białych jest bardzo ciężka.

21. g2—g4 Gf5—c2! 22. e5—e6 f7:e6 23. He3:e6+ Kc8—b8 24. Wf3—d3 Gc2:d3 25. e2:d3 Ga5:c3 26. He6—e5+ Kb8—a8.

Białe poddały się. Arcymistrz Smysłow rozegrał tę partię bardzo ostro.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KOMBINATKA



Odgadnąć znaczenia pięciu podanych rysunków i wpisać je na miejsce szyfru do poniższej tabelki:

1 = R — T — A — U — M — F — W — Y
2 = A — H — Z — H — E
3 = I — G — L — L
4 = O — N — M — K — B — T — U — z — P
5 = J — F — C — D — S — K

W ten sposób otrzymamy „klucz” do odszyfrowania tekstu widocznego na rysunku. Odczytywać należy kolejnymi rzędami poziomymi.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 27 (50)

KRZYŻÓWKA. Poziomo: kasyno, awaria, ambra, limit, tempo, uraza, komar, Herod, Ag, tatarak, wy, Abo, iwa, Ur, linotyp, la, rydel, tabes, oliwa, lewar, rebus, araba, ge-neza, okular. Pionowo: kaleka, samum, natu-

ra, om, ar, wataha, rumor, akordy, brama, ogary, atole, ekipa, owale, ton, ryt, urolog, iloraz, osika, karaty — wspak, asesor, dywan, Babel, Ra, bo.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 27 (50) nagrody książkowe otrzymują:

1) J. Badurczanka — Szopienice, ul. Sienkiewicza 10, 2) A. Głodkowski — Zawiercie, ul. Słowackiego 43, 3) J. Hierowski — Kazimierz Wielki, ul. Kolejowa 11, pow. Pińczów 4) W. Jędruch — Gdańsk - Wrzeszcz, ul. Politechniczna 17, 5) T. Kiszeńska — Toruń, ul. Waldowska 97, 6) T. Kociński — W. S. Piech., 7) E. Kozarski — Zabrze, ul. Sądowa 8, 8) A. Matusiak — Warszawa, ul. Parkowa 31, 9) M. Murkowska — Siemianowice, ul. 3 Maja 13, 10) Z. Olasek — Warszawa, ul. Kasprzowicza 39, 11) S. Olszewska — Warszawa, ul. Parryska 3, 12) S. Olszewska — Łódź, ul. Złota 2, 13) W. Plaskota — Warszawa, ul. Czer-niakowska 131, 14) H. Rohatyn — Kraków, ul. 18 Stycznia 56, 15) J. Rostkowski — Wa-wer k/W-wy, ul. Urocz 16, 16) J. Stankiewicz — Kraków, ul. Krowoderska 11, 17) S. Studniarek — Radom, ul. Błotna 9, 18) S. Szczurewski — Łódź, ul. Piotrkowska 61, 19) P. Świerc — Krakowice, ul. Dzierżyńskiego 11, pow. Opole, 20) A. Żurek — Gdynia, ul. Komuny Paryskiej 33a.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o po-twierdzenie ich odbioru.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 28 (51)

TAJEMNICZY TEKST: Wy-siłkiem własnych rąk buduj-my dobrobyt i kulturę (duch, młyn, wlot, bies, kraj, chleb, stryj, ukłon, widma).

Za dobre rozwiązanie zada-nia z nr. 51 nagrody książko-we otrzymują:

1) E. Chojnacki — w. Chrzan-ów, ul. Poznańska 24, p-ta Włochy k/W-wy, 2) I. Gryg-lewska — Kraków, ul. Dłu-ga 8, 3) K. Karska — Nowa-wieś Wielka, pow. Bydgoszcz, 4) M. Kawalek — Gorlice, ul. Smolki 1, 5) I. Kozak — w.

Twardawa, Szkoła, pow. Prudnik, 6) H. Krzystanek — Sosnowiec, ul. Nowopogońska nr 17, 7) J. Kuklicz — Ostró-da, ul. Kopernika 9, 8) W. Kulska — Warszawa, ul. śmiała 47, 9) O. Langen-berger — Krosno n/W., ul. W.P. nr 28 d, 10) W. Malczyńska — Lublin, ul. Obr. Pokoju 9, 11) A. Malewicz — Warszawa, ul. Okopowa 23, 12) W. Osada — Gliwice, ul. Wieczysta 10, 13) M. Paradnia — Warsza-wa, ul. Leszno 22, 14) C. Pa-

goski — Pruszków, ul. Sienkiewicza 15, 15) J. Possinger — Szczecin, ul. Przybyszew-skiego 29, 16) C. Praca — w. Siedlików, p-ta Ostrzeszów, pow. Kępno, 17) L. Schmidt — Wrocław, ul. Sudecka 92, 18) H. Stawiński — Olsztyn, ul. Słowackiego 18, 19) S. Sio-jowski — Szczecin, ul. Ponia-towskiego 37, 20) T. Staroś-ciak — Katowice, ul. Korfan-tego 21.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

TEATR ŚWIAT

DYREKCJA I TEKST:
IAN SZELAĞ

DEKORACJE I KOSTIUMY
JERZY ZARUBA

STAROŚĆ SZOPENA

Jednoaktówka z epilogiem

Osoby: Anders
Mikołajczyk, wśród lokajów Białego Domu
zwany pieszczotliwie Miko
Zaleski
Arciszewski
Mackiewicz
Gospodarz knajpy
Rzecz dzieje się współcześnie w jednej z knajp na
przedmieściu Londynu.



AKT I.

ZALESKI: Tak więc, panowie, zdecydowaliśmy zebrać się na tę naradę niezależnie od dzielących nas różnic politycznych, by... tego... tam... zająć stanowisko wobec niesłychanego pohańbienia przez komunistów imienia wielkiego Polaka — Fryderyka, Fryderyka... Zaraz, zaraz, bo zapomniałem, to takie jakieś takie mało arystokratyczne nazwisko...
MACKIEWICZ (podpowiada): Szopena!
ZALESKI: Aha, tak właśnie Szopena... I właśnie w tej sprawie udzielam głosu panu redaktorowi Mackiewiczowi.
MACKIEWICZ: Już prasa nasza tutaj na emigracji dała wyraz naszemu oburzeniu z powodu wyprodukowania w kraju filmu pt. „Włóczęga Szopena”. Otóż komuniści zrobili z Szopena jakiegoś rewolucjonistę...
ANDERS: Podobno nawet zmienili tytuł słynnej etiudy Szopena, znanej „Etiudy Reakcyjnej” na „rewolucyjną”.
MACKIEWICZ: Panie generale, proszę nie przeszkadzać. Tu nie Rosja i nie rok 1942, żeby pan musiał przeszkadzać.
ANDERS: I tam mi się nie udało bolszewikom przeszkodzić w pobiciu hitlerowców.
MACKIEWICZ: Właśnie. Tym bardziej niech pan mil-

czy. Otóż musimy dać godną odpowiedź komunistom. A jedyną godną odpowiedzią co może być? **ARCISZEWSKI:** My socjaliści proponujemy wydanie pochwalnego dzieła ku czci innego Forda, nie tego, który zrobił film o Szopenie. Proponujemy wydanie książki ku czci Henry Ford — drugiego, wielkiego reżysera konwencji partii republikańskiej w



Chicago, dzięki któremu generał Eisenhower został kandydatem na prezydenta. W księdze tej gotowi jesteśmy dowiedzieć, że trudy wielkiego Forda drugiego i Eisenhowera przybliżają triumf socjalizmu na całym świecie.
MACKIEWICZ: A ja proponuję zrealizowanie wielkiego filmu, stanowiącego odpowiedź na komunistyczny paszkwil.
MIKOŁAJCZYK: Wspaniała myśl! Szopen przekrada się wraz ze mną przez granicę w ciemnych okularach i z maszynką do golenia.
ANDERS: Szopen jako mój adiutant ucieka z pola walki: spod Kutna, spod Stalingradu...
ZALESKI: Szopen jako mój pomocnik w Banku Handlowym, Szopen wraz ze mną otrzymuje zasiłki od Churchilla!
ARCISZEWSKI: Szopen wraz z nami i policją Składowskiego rozprasza demonstrujących robotników!
MACKIEWICZ: Panowie, panowie! A Szopen z Adenauerem, wytyczający granicę Polski koło Żelazowej Woli! I akord końcowy: Szopen z Trumanem grają na cztery ręce!
Mikołajczyk i reszta rzucają się na szyję Mackiewiczowi. Zza ścian dobiega muzyka. Wszyscy przerażeni zrywają się od stołu.
ANDERS (krzyczy): Gospodarz! Gospodarz! Gospodarz!

EPILOG

GOSPODARZ (wchodzi): Słucham pana.
ANDERS: Co to znaczy?
GOSPODARZ: A co?
MIKOŁAJCZYK: Ta muzyka! Ja ją gdzieś w Polsce słyszałem! Na komunistycznej akademii! Pan rozumie?
GOSPODARZ: Ah, ta muzyka. To taki jeden pianista przyszedł, żeby tu sobie pograć.
ARCISZEWSKI: Ale co on gra? To przecież rewolucja.
GOSPODARZ: To? To Szopen. (Wychodzi).
ZALESKI: No więc panowie wszystko na nic. Jeśli Szopen takie rzeczy komponował, to rzeczywiście... Ja nie widzę możliwości wyprodukowania naszego filmu „Starość Szopena”. Ta ilustracja muzyczna...
MACKIEWICZ: Nie damy za wygraną, nie zrezygnujemy. Zrobimy film. To kwestia honoru narodowego.
ANDERS: A co z muzyką?
MACKIEWICZ: Muzykę zamówimy u jakiegoś kompozytora na Broadway'u.

KURTyna

Po abdykacji króla Faruka w Egipcie i króla Talala w Transjordanii



„WSPÓŁPRACA” AMERYKAŃSKO-BRYTYJSKA NA BLISKIM WSCHODZIE... Rys. Charlie

Drodzy Czytelnicy!

Nie trudno ludziom starszego pokolenia przypomnieć sobie, w jakich warunkach rozpoczynał się rok szkolny „za dawnych, dobrych czasów”, kiedy to dla dziesiątków tysięcy rodzin sprawą zakupienia książek szkolnych dla dzieci łączyła się z koniecznością wielotygodniowego niedojadania. Przypominamy sobie, że tysiące dzieci z baraków dla bezdomnych na Żoliborzu czy Anopolu nie mogły nawet marzyć o nauce, żebrząc o kawałek chleba.

Warto sobie uświadomić te czasy pogardy człowieka, czasy wyzysku, bezrobocia i ciemnoty, aby w pełni ocenić warunki, w jakich nasze dzieci w Polsce Ludowej przystępują do nauki; warto przejść się ulicami swoich miast, miasteczek i wsi, popatrzeć na nowe budynki szkolne, zajrzeć do księgarni, Domów Dziecka, przedszkoli. Taki spacer pozwoli nam zrozumieć, ile rząd ludowy dołożył starań, aby dzieci nasze mogły korzystać w pełni z dobrodziejstwa nauki.

W tym roku 3600 tys. uczniów zasiądzie na ławach szkolnych w 25 tys. szkół. W tym roku przygotowano 1650 izb lekcyjnych w nowych budynkach. W tym roku dokonano 6650 remontów starych budynków. I przypomnijmy sobie znowu: w r. 1939 ponad milion dzieci nie obejmowało powszechnego nauczania. Poza szkołą znajdowało się ok. 20 procent dzieci w wieku szkolnym. Przed wojną jedna szkoła 7-klasowa przypadała na 17 gromad — w nowym roku szkolnym 1952 co czwarta wieś posiadać będzie taką szkołę!

Drodzy Czytelnicy! Zapamiętajmy tę cyfrę, starajmy się zrozumieć jak najlepiej wymowę tych danych! Przecież one są gwarancją, że nasze dzieci w coraz pomyślniejszych warunkach zdobywają swoją lepszą przyszłość. Pamiętajmy, że za sumę 36 milionów zł. przeznaczonych na stypendia, 41 tysięcy dzieci robotniczych i chłopskich włącza się w nurt kulturalnego życia. Pamiętajmy, że za 77,6 milionów zł. rząd ludowy kupuje dla tych dzieci piękne urządzenia szkolne, że w naszych księgarniach czeka na nich 25 milionów podręczników.

Za kilka dni zacznie się nowy rok pracy w szkołach podstawowych i zawodowych, za kilka dni, jak Polska długa i szeroka, dzieci przystępują do nauki, o której większość ich rodziców nie mogła nawet marzyć w czasach przedwojennych.

I dlatego też nowy rok szkolny jest równie radosny dla dzieci i młodzieży, jak i dla dorosłych, którzy wkrótce staną do urn wyborczych, aby potwierdzić swoim udziałem w tych wyborach zrozumienie przemian, które zaszły i zachodzą w Polsce planu 6-letniego, Polsce pokoju i socjalizmu.

SPROSTOWANIE

W numerze 33 „Świata” (z dn. 17 sierpnia 1952 roku), w artykule Artura Międzyrzeckiego p.t. „Joris Ivens z Nijmegen” znalazły się błędy korektorskie. Cytat z wiersza Apollinaire'a powinien brzmieć: „Maj piękny maj zielony barka płynię z biegiem Renu i damy stoją na wysokiej skale”. Wiersz 3 w drugim akapicie na trzeciej stronie powinien brzmieć: „...był krwawą opowieścią o Indianach”, a nie „o Indiach”.



Rys. Lengren

— To bardzo praktyczny model do jazdy tramwajem
— guziki nie giną.

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony:
Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88.
Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50.
Prenumerata miesięczna zł 4.—, — kwartalna
zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—.
Zakłady Wkłęsłodrukowe i Introligatorskie
RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72
Zam. 498. Pap. rotogr. V/80-82 cm. 3-B-24232



W TAKT MUZYKI CZAJKOWSKIEGO

TĄNCZY MŁODA LEILA BEKIZOWA, WYKONA-
WCZYNI ROLI ODETTY W „ŁABĘDZIM JEZIORZE”
NA SCENIE OPERY ASERBEJDŻAŃSKIEJ W BAKU.

Fot.: N. Maksimow